Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 25 grudnia 1938 r. Nr. 52





Choinka

(NOWELA WIGILIJNA)

Śnieżny rój skrzydlaty zwolna opadał w dół, otulając ziemię w bielusieńki, puchowy płaszcz.

Mały Antoś patrzył z zachwytem na nieskończone szeregi śnieżnych gwiazdeczek.

— Mamusiu, — zapytał po chwili chłopiec — a czy jak Pan Jezusinek się urodził — to też tak śnieg padał?...

— Tak, synku, tak samo, — odpowiedziała Wawrzynowa Gałęcka, uboga wdowa, czyniąc przygotowania do wilii. — Było to już bardzo dawno. Dziś jest właśnie wigilia święta Narodzenia Chrystusa Pana.

Po chwili, poprawiwszy sobie chustę na głowie, podeszła do okna.

— Jakosik Jakóbek z Piotrusiem długo nie wracajom z lasu. Czy może spotkało ich nieszczęście...? Jezus, Maryjo Święta, miejcie ich w swojej opiece... żeby tylko przed nocą przyśli...

— Przyjdom, matulu, boć to po choinkę jechali, a Jakóbek powiedział, że około kościoła przechodzić bendom, więc tyż wstompiom i pomodlom się...

— Mamuś, opowiedz mi o Jezusinku — rzekł po chwilowej ciszy mały, czteroletni Antoś.

Wawrzynowa, nie przerywając toku pracy, zaczęła opowiadać.

— A więc było to tak... Przed kilkunastu wiekami, na rozkaz cesarza rzymskiego Augusta, udali się mieszkańcy ziemi żydowskiej do miasteczka Betleem, aby można było sporządzić listę ludności i podać swój majątek.

Udał się więc tam również Józef święty z Panną Maryją, a pochodzili oni z królewskiej familii Dawida, który urodził się w Betleem.

Gdy przybyli na miejsce, zastali wielki natłok i zanocować musieli w nędznej stajence pod miastem.

Nagle w nocy zabłysła nad stajenką cudowna gwiazda, nigdy przed tym nie widziana, i zadziwiła jasnością niebieską pastuszków, czuwających w polu nad bydłem. A kiedy pastuszkowie przelękli się, wtedy przystąpił do nich anioł i rzekł: „Nie lękajcie się, bo oto opowiadam wam wesele wielkie, które będzie weselem wszystkiemu ludowi, bo dziś w mieście Dawidowym narodził się Zbawiciel, który jest Chrystus Pan. A ten wam znak daję: znajdziecie niemowlątko, owinione w pieluszki i położone w żłobie".

I naraz pokazały się na niebie chóry aniołów świętych, chwalących Boga i śpiewających „Chwała na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

Więc pobiegli pastuszkowie do stajenki i znaleźli Pannę Maryję, Józefa świętego i nowonarodzonego Króla Niebieskiego, Pana i Zbawiciela całego świata.

Wszyscy podziwiali, opowiadali i cieszyli się z tego, co widzieli.

Narodzenie Pana Jezusa obchodzimy uroczyście każdego roku, z weselem w sercu, a księża odprawiają w tym dniu po trzy msze święte. O godzinie dwunastej w nocy jest zawsze pierwsza msza święta, którą nazywamy Pasterką, a nazwa ta pochodzi od tego, że pierwszy pokłon Bożej Dziecinie złożyli pastuszkowie.

Wawrzynowa przerwała opowiadanie i spojrzała przez okno na podwórze.

Białe płaty śniegu sypały się coraz więcej, zasłaniając horyzont.

— Żeby ich tylko nie zasypało... żeby nie zbłądzili... — szeptały drżące usta matki.

— — — — — — — —

Pustym polem jechali z sankami dwaj chłopcy, raz wraz wpadając w zaspy śniegu.

Byli to dwaj bracia Gałeccy. Jakóbek liczył lat piętnaście, a Piotruś zaledwie lat siedem.

Modlitwa w kościółku pokrzepiła ich dusze.

Po długiej wędrówce znaleźli się wreszcie w lesie. Wycięli małą zgrabną choinkę, nazbierali chrustu, pokładli na sanki i ruszyli do domu.

Jeszcze nie ujechali sto metrów, kiedy naraz ujrzeli parę wilków, biegnących w ich stronę. Uciekać nie było celu; skryć się również nie było gdzie, gdyż przed sobą mieli tylko puste pola.

Chłopcy zamarli w bezruchu.

Ślepia pary wilków błyszczały już blisko.

Nagle Jakóbek wepchnął Piotrusia pod sanki, złapał siekierę i stanął odważnie do walki.

Pierwszy wilk padł bez życia od silnego uderzenia chłopaka.

Drugi wilk zaatakował swą ofiarę z boku. Siekiera odcięła tylko ogon, a rozjuszone zwierzę powaliło Jakóba na ziemię.

Piotruś z krzykiem wypadł spod sań.

Wilczyca puściła starszego chłopca, aby rzucić się na drugiego.

Bóg jednak kierował losem chłopców, gdyż Jakób podniósł się momentalnie i trafnym rzutem siekiery położył zwierzę nieżywe na ziemię.

Wicher zawył i zakołotał tumanem śniegu, szczypiąc niemiłosiernie twarzyczki chłopców.

Wawrzynowa — zamyślona i zapłakana — patrzy tępym wzrokiem na puste ściany izdebki.

Wieczór już rozsiał swe mroki. Jeno srebrzyste gwiazdeczki śniegu skrzyły się jak drobne, cenne kamienie. Śnieg ciągle jeszcze padał...

— Mój Boże... mój Boże... żeby tylko wrócili!...

— Wrócom, mamo, i przywiozą choinkę — rzekł Antoś i podbiegłszy do Wawrzynowej, zaczął ją głaskać po rękach.

Choć, mamo, na podwórko, będziemy wyglądać gwiazdeczki na niebie, a może tymczasem przyjadom...

Wawrzynowa ociera łzy, zarzuca chustę na ramiona, ubiera Antosia i wychodzą.

Wnet twarz Wawrzynowej się rozjaśniła, gdyż zdaleka jej bystry wzrok zauważył czarny punkcik, który rósł i przybierał kształty ludzkie.

Instynkt macierzyński jej nie omylił. To był Jakób i Piotruś.

Ciągnęli sanie, a na nich zielone drzewko, chrust i dwa zabite wilki.

— Matuchna, ubierzemy choinkę, a o dwunastej pójdziemy na Pasterkę! — wykrzyknął uradowany Antoś.

— Dobrze synku!

A śnieg padał dalej, kryjąc wokół wszystko śnieżną powłoką.

J. F. Płóciennik.



ENA VIOLETTA

Duch nocy

1)

ROZDZIAŁ I.

Na gęsto zarośniętym brzegu pięknego jeziora Dryświaty, stał średniego wzrostu mężczyzna oparty o wysoki pień olchy, zapatrzony w szafirową toń wody. Ubrany w myśliwską kurtkę, wysokie zabłocone buty; przez jedno ramię przewieszoną miał torbę myśliwską z której zwieszało się kilka zabitych kaczek, a przez drugie dubeltówkę, obok niego siedział biało nakrapiany chart i węszył coś w powietrzu.

Cisza była wokoło, lipcowe słońce przygrzewało dobrze, a stojący pod drzewem myśliwy był widocznie olśniony cudami natury, które miał przed sobą, bo stał dalej zadumany i milczący, pomimo, że nad jego głową szybowało stado dzikich kaczek. W pewnej chwili siedzący przy nim pies wstał i zaczął milczącego pana trącać kosmatą łapą; myśliwy drgnął, spojrzał na niego i półgłosem rzekł:

— Czego chcesz, Czertis?

Pies zaskomlał cicho.

— Nudzisz się? — rzekł głośniej śpiewnym litewskim akcentem. — Zaraz wracamy — potrzeba nam jeszcze ubić ze dwa ptaki, chodź!

To mówiąc, nerwowo ruszył z miejsca, a uradowany pies pobiegł przodem. Małą chwilę przedzierali się przez gęste krzewy i splątane trawy, gdy nad wodą jeziora zafurczało znowu stado kaczek. Myśliwy szybkim wprawnym ruchem zdjął dubeltówkę i wycelował. Huknął strzał, niespokojne oczy patrzyły na spłoszone stado, lecz ani jedna kaczka nie upadła na błyszczącą taflę jeziora.

— Sapristi! — wyrwało się z jego ust i znów huknął strzał jeden, drugi, lecz i tym razem bezskuteczny — pudłował.

Mężczyzna wyprostował się i trzymając dymiącą jeszcze dubeltówkę w ręku zawołał głośno:

— Zły omen, ano — zobaczymy! — przy ostatnich słowach zaśmiał się jakoś niesamowicie, zarzucił dubeltówkę na ramię, spojrzał na słońce i ruszył naprzód mrucząc:

— Południe, czas do domu.

Omijał zarośnięte nieprzebyte miejsca, przedarł się siłą przez zieloną łozinę i wyszedł na małą polankę, na której skubiąc trawę stał osiodłany jego wierzchowiec. Wskoczył na konia i siedząc już na nim, wyjął z kieszeni lusterko przeglądając się skrupulatnie. Po skończonym przeglądzie schował kieszonkowe tremo, ściągnął lejce na szyi wierzchowca i popędził znanymi sobie manowcami do ukrytej w zielonych sadach wsi.

Kim był myśliwy? — W krótkości zapoznamy się z nim.

Litwin Błażej Montułł był rządcą majątku Pileny od trzydziestu lat, służył wiernie rodzinie Pileńskich, strzegł wszystkiego pilnie i czujnie, nic czujności jego nie uszło, a wśród dworskiej służby i całej wsi budził postrach i nienawiść. Lat mógł mieć pięćdziesiąt, a może i sześćdziesiąt, twarz miał szczupłą, szorstką, oczy czarne przenikliwe, ukryte pod krzaczastymi brwiami, patrzyły na wszystkich zimno i przejmująco, a na wąskich zaciśniętych ustach gościł często iście diabelski uśmieszek.

Charakterystyczne i godne uwagi było zmienne usposobienie Montułła; wulgarna i odpychająca jego natura umiała być tak dalece przystępną i wprost przemiłą, że mógł nią wprowadzić w błąd największego psychologa. I tak jak umiał sypać siarczyste opitety na podwórzu folwarcznym, tak umiał znaleźć się w salonie i prowadzić najdelikatniejszą rozmowę z paniami. — Dwóch ludzi w nim mieszkało; pierwszy był stale, a drugi ukazywał się wówczas gdy chodziło o jakąś zdobycz dla siebie, o jakiś cel, którego pierwszy Montułł nie mógł zdobyć, przeto przywoływał do pomocy drugiego, aby łatwiej zdobyć upragniony cel.

W taką pułapkę grzeczności złapał swą żonę, młodą wdowę po wileńskim profesorze, panią Miroszewską. Młoda podówczas kobieta uległa i uwierzyła pozorom, a gdy poznała, że to tylko maska, za późno było się już cofać. Znalazła jedyną pociechę w swoim błędzie życiowym w dzieciach, chłopcu i dziewczynce, które zostały jej z pierwszego małżeństwa.

Dziesięć lat mijało od chwili, kiedy Montułł dał drugie nazwisko swej żonie, a cztery lata, jak żył w separacji, choć pod jednym dachem mieszkali. Dziwne to, ale prawdziwe. Stosunek między małżonkami uległ dużej zmianie, gdy dzieci pani Miroszewskiej zaczęły dorastać. Montułł, egoista i skąpiec wielki, na wykształcenie pasierbów nie chciał dać grosza, przytem zaczął się jawnie umizgać do pasierbicy, co wywoływało oburzenie matki. Po takich codziennych scysjach stanęło na tym, że Montułł zajął jedną połowę domu, a żona drugą, córkę zaś pani Miroszewska odwiozła do brata mieszkającego w Krakowie; tam się kształciła, przyjeżdżając rzadko do domu ojczyma. Syn Tadeusz kształcił się w domu do matury, a potem wyjechał do Warszawy na dalsze studia.

W dniu, kiedy Montułł wybrał się na polowanie, nie zrobił tego dla własnej przyjemności, ani z chęci zaopatrzenia kuchni w upolowaną zwierzynę, lecz po prostu dlatego, że dnia tego miała przyjechać pasierbica, pasierb i żona, która od miesiąca bawiła u córki. Zaznaczyć jeszcze trzeba, że pasierbica od trzech lat nie przyjeżdżała wcale na wieś, co irytowało Montułła i gdy dowiedział się, że ma przyjechać, postanowił godnie ją przyjąć.

W obecnej chwili, kiedy Montułł zbliżał się do folwarku, we dworze panował ruch i wrzawa. Przez szeroko otwartą bramę

SZCZĘŚCIA, RADOŚCI, WESELA I ZDROWIA W TE NAJCUDOWNIEJSZE CHWILE POJEDNANIA PRZY ŁAMANIU BIAŁEGO OPŁATKA, — ŻYCZY SWYM ABONENTOM, CZYTELNIKOM I SYMPATYKOM

WYDAWNICTWO I REDAKCJA
„MOICH POWIEŚCI"



Któż nie lubi załatwiać tak radosnych sprawunków, jak kupno choinki!..

wjeżdżali i wyjeżdżali konno wojskowi panowie, pełno było również i pieszych — to manewry, których główna kwatera znajdowała się od wczoraj we dworze. Przed dworem stała grupka panów i dwie młode panie; jedna z pań jasna blondynka, to Lili Pileńska, rówieśnica pasierbicy Montułła, druga brunetka, to żona majora Trakowskiego, mieszkająca podczas manewrów również we dworze.

Montułł, jadąc szeroką drogą, która dzieliła dwór od jego rezydencji, zatrzymał się przed ogrodzonym drucianą siatką domem, zeskoczył z konia i pchnąwszy nogą furtkę stanął przed zamkniętymi drzwiami domu.

— Jest tam kto? — zawołał podniesionym głosem. Ukryte w zielonych pnących powojach drzwi uchyliły się i stanęła w nich osiemnastoletnia dziewczyna Natalka.

— Gdzie Fedor? — zapytał surowo Montułł.

— Poszedł do dworu — odrzekła wylękłym głosem Natalka.

— Dawno?

— O, już idzie! — zawołała dziewczyna, pokazując ręką na drogę, zadowolona, że skończy się rozmowa z rządcą. Nadszedł Fedor i stanął w przyzwoitej odległości od rządcy.

— Gdzie się włóczysz? — padło ostre pytanie.

— Wedle dworu byłem! — odrzekł młody, czarny chłopak; w jego bystrych oczach nie było widać lęku ani przerażenia.

— Coś tam robił?

— Odprowadzałem jednemu starszemu wojakowi konia.

— Ach, ty koński synu, to zamiast pilnować domu, usługujesz jakiemuś tam wisielcowi! — zawołał unosząc się rządca.

— Nijakiemu wisielcowi nie służyłem — oburzył się Fedor — lecz mówię wyraźnie, że wojakowi, który dał mi ot to! — to mówiąc, błysnął przed oczyma Montułła srebrną dwuzłotówką.

— Draniu, dam ja ci służbę i pilnowanie domu!

— Pocałujcie me, domu niech se duchy pilnują! — zawołał Fedor, uciekając, bo rządca skoczył do niego.

— Pożałujesz! — zawołał, pieniąc się Montułł, zawrócił i wszedł do małego korytarzyka, coś sobie przypomniał, bo zakrzyknął:

— Konia mego odprowadź!

— Sam, bez niczyjego rozkazania wiem, co mi przynależy! — odkrzyknął Fedor.

Montułł otworzył drzwi swego pokoju kluczem i wszedłszy zamknął się również na klucz. Pierwszy pokój umeblowany był elegancko i wygodnie, drzwi prowadzące do drugiego pokoju były tak samo jak pierwsze zamknięte na klucz; wyglądało to bardzo tajemniczo. Montułł żując gniew otworzył drugie drzwi i wszedłszy, zdjął skórzaną torbę z ramienia i dubeltówkę i sapiąc, usiadł w skórę obitym fotelu.

Pokój ten wyglądał na laboratorium chemika: na dość dużym stole stały różne słoiki z farbami i pędzlami, jakieś flaszeczki z bezbarwnymi płynami, epruwetki, maszynki i grube księgi. W rogu pokoju stała duża oszklona biblioteka, półki jej również gięły się od grubych tomów. Tak poważne na pozór dzieła, chowały w sobie czarną magię, spirytyzm, okultyzm i niezliczoną ilość brukowych pism, które demoralizowały duszę rządcy.

Błażej Montułł został czarną magią omotany jak mucha w sieci pająka, nie studiował poważnych dzieł dla wiedzy i nauki, lecz dla wykrycia niesamowitych tajemnic, które by mu dały czynną satysfakcję w praktyce na kimś zainteresowanym. W swoim tajemniczym pokoju studiował, robił doświadczenia, uśmiechał się coraz bardziej szatańsko, i oddalał się coraz więcej od prawdziwych dogmatów życia, unikał Boga jak diabeł święconej wody, będąc coraz więcej podobnym do ducha nocy. Zastawiał kunsztownie sieci i łowił pożądane ofiary.

Do ofiar należały przeważnie kobiety; podwładne brał siłą, a władające zdobywał Montułł drugi — inteligentny, towarzyski i miły. Nic dziwnego więc, że dom rządcy otoczony był niesamowitymi wieściami i legendami. Mówiono, że w pokojach zajmowanych przez Montułła każdej prawie nocy gospodarzyły czarne duchy. W ogrodzie i na podwórzu służba rządcy widywała często kościotrupa, innym znów razem pokazywał się jakiś potwór, w którego oczach i ustach płonęły płomienie. Może w tych krążących wersjach było dużo jak zwykle w takich wypadkach przesady, ale i było dużo prawdy.

Pewnego razu dziedzic Pileński wracał z synem późnym wieczorem do domu i wjeżdżając przez bramę, obaj ujrzeli takie płonące niesamowitym ogniem zjawisko, od którego najodważniejszy mężczyzna zadrżeć musiał.

Nikt nie chciał zgodzić się na służbę w domu rządcy, unikali go i bali się go wszyscy jak ognia.

Było w domu rządcy dwoje ludzi, którzy nie ulegali jego woli: to żona, którą wprawdzie najmniej zaczepiał i ulubiony sługa żony, Fedor. Chłopak ten, aczkolwiek młody, nie drżał ani bladł z przestrachu na widok Montułła; gdy go wołał do siebie, stanął zawsze w takiej odległości od niego, żeby ten nie mógł go ręką sięgnąć. Odpowiadał mu zazwyczaj hardo i krąbrnie: weźcie, macie itd.

Montułł setki razy zacinał zęby, klnąc chłopaka, dziesiątki razy szukał go w stajniach, gdy ten udał się na spoczynek, lecz sprytny chłopak tak się krył, że go mściwa ręka rządcy dosięgnąć nie mogła.

Teraz Montułł siedząc w swoim „diabelskim gabinecie" jak go nazywał Fedor, przeczuwał unoszący go gniew. Oczy mu błyszczały dziko, twarz płonęła, uderzył muskularną dłonią w blat stołu aż podskoczyły poważne księgi i mruknął:

— Pożałujesz, sobako, pożałujesz!

Siedział tak dość długo, obmyślając widocznie plan zemsty na zuchwałego Fedora, a upolowane kaczki miast być oddane do dyspozycji kucharki, leżały obok jego nóg.

Fedor tymczasem odprowadził konia do dworskiej stajni i wrócił do kuchni rządcy, gdzie stara kucharka Józefa piekła przy pomocy Natalki różne delikatesy, oraz smaczny razowiec, który przyrządzać umieją tylko kresowiacy.

— Stary jeszcze tu nie był? — zapytał chłopak stając na progu kuchni.

— Chwała Bogu, jeszcze nie — odrzekła cicho kucharka, w obawie aby jej kto nie usłyszał.

— Fedor — szepnęła Natalka, zbliżając się do niego — ty się pilnuj, bo Montułł nie żartuje, dosięgnie cię i będzie bieda.

— Czort go zabierz — mruknął lekceważąco Fedor. — Nie boję się!

— Pamiętaj — upominała dziewczyna.

— Rychło po nią jedziecie? — zmieniając temat rozmowy, spytała kucharka.

— Niedługo.

— Stary też jedzie?

— Podobno, ale jak ja go wykieruję, to no! — odrzekł Fedor.

— Bój się Boga, chłopie! Co ty znów myślisz zrobić? — zawołała przerażona kucharka, upuszczając trzymaną ścierkę.

— Nie bójcie się, matko, nijakiej mu krzywdy nie zrobię — odparł spokojnie chłopak, widząc zafrasowaną minę starej kobiety. — Ostańcie z Bogiem, już idę do domu — dodał, zawracając na progu.

— Zaczekaj! — zawołała za nim kucharka — dam ci coś zjeść. — To mówiąc,



W fabrykach lalek w okresie przedświątecznym wre praca gorliwsza niż kiedykolwiek.

ukroiła kawał pszennego ciasta i podała chłopakowi ze słowami:

— Ochraniaj się, Boh, moje dziecko!

Chłopak schował ciasto za pazuchę i wyszedł.

Na podwórzu folwarcznym stał już odkryty powóz, zaprzężony w parę ognistych gniadoszów. Na koźle siedział stangret Borys, chłopak w wieku Fedora, a przy koniach stał Fedor coś tam niecierpliwie poprawiając, gdy zbliżył się ku nim stary dziedzic Pileński w towarzystwie pułkownika Rotwickiego, pytając chłopów:

— Już jedziemy?

— Już, proszę dziedzica! — odrzekli obaj!

— A stary Montułł nie jedzie z nami?

— A jakże, nie jedzie, kazał jeno podjechać przed dom, to wsiądzie — odrzekł prędko Fedor.

— Rad jesteś, że przyjeżdża pani Miroszewska? — spytał z uśmiechem dziedzic Fedora.

— Wiadomo, proszę jaśnie pana — odrzekł z radością chłopak. — Co pani, to pani, a i panienka nie była u nas dawno.

To mówiąc, skoczył na kozioł.

— No, jedźcie szczęśliwie! — zawołał dziedzic.

— Dziękujemy! — odrzekli i ruszyli, lecz ku zdziwieniu Pileńskiego, Fedor nie zatrzymał koni przed domem rządcy, jeno jechał kłusem, a za dworem popędził jak wicher, zostawiając po sobie tuman kurzu.

— Chłopak wypłatał znów Montułłowi figla — rzekł Pileński do idącego obok pułkownika.

— Ja to właśnie widzę — odparł pułkownik. — A kto jest ta pani Miroszewska, po którą pojechali?

— Żona Montułła.

— Więc nazywa się Montułłowa, a pan mówi Miroszewska?

— Owszem, pani Montułłowa z pierwszego małżeństwa, nazywa się Miroszewska, a z drugiego Montułłowa, lecz my wszyscy nie wyłączając służby mówimy przeważnie Miroszewska — wyjaśnił pan Pileński.

— Miroszewska... Miroszewska... — mówił w zamyśleniu pułkownik — takie znajome mi nazwisko. Ach, przypominam sobie: o kuzynkę moją, mieszkającą stale na Wileńszczyźnie, starał się pewien młody człowiek, tego samego nazwiska, ale to chyba nie z tych Miroszewskich?

— Czy ten Miroszewski, o którym pan pułkownik mówi, mieszka również na Wileńszczyźnie?

— Tak, zdaje mi się nawet, że jest sąsiadem przez miedzę z moim wujem.

— Nie powiem na pewno, ale zdaje mi się, że to z tych samych — odrzekł poważnie pan Pileński.

— To chyba niemożliwe! — zawołał żywo pułkownik. Wszak tamci to ziemianie, ludzie bardzo zamożni, a ta pani Miroszewska wyszła za rządcę...

— Hm... — odetchnął Pileński. — Widzi pan, na świecie dzieją się różne rzeczy, złe i dobre, a wagę przechylają złe. Czy nie wiadomo panu czasem, jak nazywa się majątek, w którym mieszkają tamci Miroszewscy?

— Krossy.

— To ci sami.

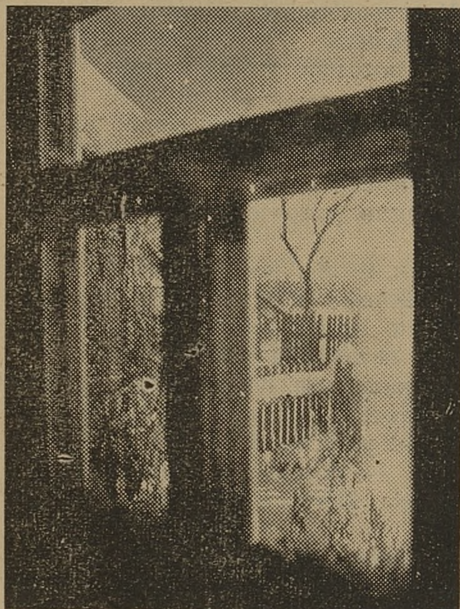
— Czy to bliska rodzina tamci i tu mieszkająca pani Miroszewska?

— Bardzo bliska, jej samej nie tyle, ile dzieci.

— Ma dzieci z pierwszego małżeństwa?

— Dwoje. Córkę i syna. Córka przeważnie bawi w Krakowie u brata pani Miroszewskiej, a chłopak w Warszawie „bije" politechnikę.

— Tak daleko; dlaczego nie kształci się w Wilnie?



Przez moje okno...

Przez moje okno jasne i duże,
Spoglądam co dzień na Boży świat
I gonię wzrokiem chmurki w lazurze,
Lub też na śniegu — stóp ludzkich ślad.

Przez moje okno, w zimowe rano,
Patrzę w ulicy mej szarej głąb
I widzę dziatwę w niej roześmianą,
Chociaż twarzyczki zgasił ziąb.

I widzę także, jak biedni ludzie,
W paltach krzyczących od łat i dziur —
Idą gdzieś co dzień po twardej grudzie,
A twarze mają, jak szary mur.

I wtedy — z poza szyb moich dużych,
Rwie się za nimi moc dobrych słów:
„O, wróćcie, bracia, ze swej podróży
I niech wam będzie dziś dobrze znów!

Przez wielką bramę wejdźcie do domu
I w sieni strzepnijcie ten zimny śnieg,
A później w progu — z uczuć ogromem —
W krąg was powitam — ja, cichy człek.

I dam się ogrzać wam u ogniska
I zaspokoję wasz silny głód,
Bo stać mnie na to, bo wszak mam [wszystko
I nie znam tych też, co rodzi chłód.

A gdy już zamkną się drzwi za wami
I znów pójdziecie w swej drogi kres,
To hen za oknem, śniegu aksamit —
Nie będzie tyle miał krwawych łez.

Maria Zemmlerówna.

— Ze względu na częste spotykanie z tamtymi Miroszewskimi, których widok sprawia wielką przykrość chłopakowi. Tamci Miroszewscy, to przywłaszczyciele cudzego majątku.

— Jakto?

— Zagarnęli siłą majątek, który prawnie należy do dzieci pani Miroszewskiej.

— W jaki sposób? Zna pan tę historię? — pytał zaciekawiony pułkownik.

— Mogę ją panu pokrótce opowiedzieć: Teść pani Miroszewskiej, a właściciel pięknych Krossów, za młodu jeździł dużo i zwiedzał obce kraje. Pewnego razu zjechał do Krossów ku zdziwieniu i zgorszeniu rodziny z piękną młodą żoną. Była to podobno prześliczna kobieta, którą Miroszewski kochał bardzo. W rok od przyjazdu do Krossów umarła, zostawiając zrozpaczonemu mężowi nowonarodzonego syna. Po śmierci ukochanej żony Miroszewski stał się anachoretą, zamknął się w domu i jak muszla perłopławu krył w sobie łzy bólu. Syna wychowywał, lecz unikał jego widoku, który w jego imaginacji był przyczyną śmierci ukochanej. Lata płynęły, chłopak wyrósł, wykształcił się i wiedząc, że jest przez ojca niemile widziany, postanowił wyjechać. Miroszewski nie miał nic przeciwko temu, spłacił syna honorowo z majątku, otrzymał pokwitowanie i młody Miroszewski postanowiwszy sobie nie wrócić więcej w rodzinne progi, wyjechał, żegnany przez ojca chłodno. Upłynęło potem lat kilka, słuch zaginął zupełnie o Miroszewskim. Gdzie był, co robił nikt nie wiedział, aż razu pewnego, po wielu latach, całkiem przypadkowo, dowiedział się stary Miroszewski, że syn ożeniony mieszka w Wilnie i pracuje jako profesor uniwersytetu wileńskiego.

Stary Miroszewski długo się namyślał, czy jechać do syna, czy nie, w końcu zapakował się i pojechał. Syn przywitał go zdziwiony, przedstawił żonę, starszego wnuka i trzyletnią podówczas wnuczkę. Dziadek na widok wnuczki doznał silnego wrażenia, gdyż dziewczynka była żywym portretem zmarłej żony, nosząc również jej imię.

Zabawił u nich tydzień, dziewczynkę pieścił, kochając ją coraz więcej, a wyjeżdżając, prosił, aby do niego przyjechali na lato z dziećmi. Przy pożegnaniu chciał wręczyć synowi pewną kwotę pieniędzy, ale syn nie przyjął, dziękując chłodno. Tak upłynęło znów kilka lat; wnuczka Terenia była faworytką dziadka, wszystko było dla niej i wszystkie marzenia dziewczynki dziadzio wypełniał, pomimo, że syn nic nie przyjmował i to, co sobie przyrzekł w dniu swego wyjazdu z domu, to wypełnił, gdyż zmarł przedwcześnie na serce, ale nielubiony przez ojca w domu jego już nie stanął. Żonę z dziećmi zabierał dziadek często na wieś, tylko on nie miał nigdy czasu. Wkrótce po jego śmierci zachorował stary Miroszewski, synową zawiadomiono wówczas, gdy staruszek leżał już na katafalku, a w Krossach panował udzielnie młodszy brat zmarłego.

Na młodą Miroszewską z dziećmi, która miała zamieszkać ze starym Miroszewskim w Krossach, patrzyli wszyscy z góry, wyniośle i gdy zwłoki Miroszewskiego spoczęły w rodzinnym grobowcu, wdowa z płaczącymi dziećmi wyjechała, nie zostawszy nawet na noc. Miała prawo za sobą, mogła przez proces odebrać majątek swych dzieci, ale dla pamięci męża nie chciała wyciągać ręki po to, od czego własny rodzic go odepchnął. Wszystko poszło z prądem życia, później na drodze jej stanął Montułł, otumanił ją i wyszła za niego — zakończył poważnie pan Pileński.

— Przykre to bardzo — odrzekł po wysłuchaniu pułkownik, a na jego męskiej twarzy odbiło się żywe zainteresowanie — czy stary Miroszewski nie zostawił jakiegoś testamentu na korzyść wnuków?

— Na pewno zostawił, ale zagarnęła to wszystko rodzina.

— Tatku, tatku! — dał się słyszeć niewieści głos dziewczynki z otwartego okna. — Borys zaprzęga już?

— Nie Lili — zawołał pan Pileński, stając naprzeciw okna, w którym stała jasnowłosa, piękna dziewczyna. — Gdzie się wybierasz?

— Po Terenię Miroszewską na stację!

— Za późno, moja kochana, Borys i Fedor już pojechali.

— Oo! — zawołała Lili. — Powierzyłam tę funkcję Heniowi, myślałam, że ją wypełni, a tymczasem zawód.

— Niech się pani pocieszy — zawołał pułkownik — na pewno niedługo ujrzy pani swego gościa.

— Wiem, ale ja chciałam jechać na stację!

— Idzie Heniek — rzekł pan Pileński, patrząc na zbliżającego się syna.

— Toś ładnie się wywiązał z danego mi słowa — zawołała Lili z okna do brata.

— Niemoja wina — usprawiedliwiał się młody człowiek. — Borys miał zaprzęgać o czwartej, a on wyjechał o trzeciej. Kto tak naglił, Montułł?

— Wcale nie, bo Fedor był głównym powodem pospiechu — odrzekł, śmiejąc się pułkownik.

— To szelma chłopak! — rzekł stary Pileński.

— I Montułł też pojechał? — zapytali jednocześnie Lili i Henryk.

— Nie, Fedor tak manipulował, że zostawił Montułła na koszu — odrzekł śmiejąc się Pileński.

— Nicpoń chłopak, stale z Montułłem koty drze! — mówiła rozweselona Lili.

— Wyobrażam sobie z tego powodu złość Montułła — zaśmiał się Henryk. — A otóż i on!

Montułł szedł istotnie szybkim krokiem wydać rozkazy zaprzężenia, jednak dziedzic zatrzymał go słowami:

— Niech się pan tak nie spieszy, konie po żonę już są na stacji.

Montułł stanął. Przez twarz jego przeleciała łuna ognia.

— Naprawdę? — zapytał z niedowierzaniem.

— Zupełnie serio mówię. Godzina już, jak pojechali!

— Kto pojechał?

— Fedor i Borys.

— Żeby ich jasne... — urwał nagle, ręką nerwowo przygładził wyczernioną czuprynę.

— Niech się pan nie unosi, żona szczęśliwie przyjedzie — pocieszał pułkownik, patrząc przenikliwie czarnymi oczyma w ściągniętą gniewem twarz rządcy.

— Niech się pan nie dziwi, panie pułkowniku. Złości to pana Montułła — wtrącił Henryk — wytęsknił się za żoną i to go unosi.

— Sądzę, że tęsknota ma inne objawy — odparł pułkownik.

Montułł utkwił oczy bazyliszka w twarzy pułkownika, lecz nic nie odpowiedział na jego uwagę i pozornie spokojny zapytał Pileńskiego:

— Może konno zdążę jeszcze dogonić Fedora?

— Na pewno nie. Przed trzecią wyjechali, a teraz jest czwarta — odrzekł dziedzic.

— Musi pan czekać, na siódmą tu będą — rzekł Henryk.

— Nie pozostaje mi nic innego — odparł Montułł.

Do panów zbliżyły się panie: Lili Pileńska i majorowa Trakowska z sześcioletnim synkiem.

— O czym panowie radzą? — spytała Lili.

— Mało, że zły, jest wściekły! — rzekł młody Pileński.

— Warto by mu założyć kaganiec, żeby nie kąsał — zaśmiała się majorowa.

— Ma pani rację, tylko niestety, na złość ludzką nawet i kaganiec nic nie pomoże — odrzekł pułkownik.

— Tak. — potwierdził Pileński. — To są zwierzęta, które nie tylko ustami umieją kąsać!

— Mamusiu, cio to są zwierzęta? — zapytał mały chłopczyna matki, słysząc rozmowę starszych.

— To są takie pieski, które gryzą — objaśniała majorowa syna.

— A ludzie to są też pieski? — pytał malec.

— Ależ nie! — zawołała śmiejąc się matka.

W trzy godziny potem na drodze prowadzącej do dworu ukazał się najpierw tuman kurzu, a po małej chwilce wynurzający się z niego powóz; konie szły rączo.

W otwartym powozie siedziała pani Miroszewska, osoba miła i sympatyczna, choć twarz nosiła ślady minionego bólu i goryczy. W ciemno-niebieskich oczach czaił się smutek, a sieć przedwczesnych zmarszczek dawała dowód, że nie lekko płynęło jej życie. Siedząca obok niej córka Terenia była uosobieniem wiosny, każdy ktokolwiek spojrzał na nią, musiał zawołać: piękna dziewczyna! Terenia Miroszewska była istotnie śliczną w całym tego słowa znaczeniu. Nie była to żadna piękność wiejska, ani miejska, taka filigranowa, wydmuchana, wychuchana i wymalowana, ale taka, jaką czasami spotyka się na starych włoskich obrazach.

Szatynka, o dużych, pięknych jasno-błękitnych oczach, ocienionych ciemnymi proporcjonalnymi łukami brwi i długimi rzęsami, włosy lekko falujące, musiały być dość długie, bo były splecione w dwa warkocze i upięte szpilkami nisko na tyle głowy a z przodu spod białej czapki studenckiej, spadały na wysokie zamyślone czoło zwite w małe kędziory. Miała grecki profil twarzy, cerę białą, małe koralowe usta i naturalne zdrowe rumieńce. Z całej jej osoby wiał dźwięk i swoboda, pomimo że białe czoło, gdy się zmarszczyło, tchnęło mocą i dumą.

Siedzący naprzeciw niej starszy brat Tadeusz, nie był podobny do niej, więcej do matki. Ciemny blondyn, niebieskie oczy błyszczały życiem, a kształtne usta co chwilę uchylały się w rozmowie z Fedorem i pokazywały szereg białych zębów.

Fedor właśnie opowiadał, jakiego spłatał figla Montułłowi i jakiej spodziewa się złości rządcy.

— Możesz być przy nas spokojny, nic ci nie uczyni — rzekła po wysłuchaniu Fedora panna Terenia.

— Ja się tak bardzo nie boję, ale zawsze — odrzekł Fedor.

— Trzymaj się zawsze mnie! — rzekł mu Tadek.

— Dziękuję paniczowi; jakoś na spółkę poradzimy, chociaż on trzyma ze swoimi duchami.

Dojeżdżali do dworu, Borys trzasnął kilka razy batem i stanęli przed domem rządcy.

Przed domem czekał już wyelegantowany Montułł, ale nie ten Montułł pierwszy, lecz ten drugi, miły, usłużny i towarzyski. Przywitał wszystkich nadzwyczaj czule, żonę pocałował nawet kilkakrotnie w rękę, a ręce pasierbicy i pasierba uścisnął serdecznie, co widząc Terenia rzekła:

— To ja widzę, że i na wsi, na kresach wschodnich uprawiacie w dużym stopniu lindberghiadę!...

— Na przykład jaką? — zapytał rządca, nie domyślając się, o czym dziewczyna myśli.

— Taką, że okradacie siebie samych i ubieracie się w sztuczne, cudze szaty...

Tadeusz, zdejmując walizki zaśmiał się głośno, Montułł zrozumiał, popatrzył przeciągle na nią i zapytał:

— Czy tego cię uczyli w Krakowie?

— Nie — odrzekła — to co umiem, postaram się w najbliższym czasie panu pokazać, może ojczym skorzysta z moich lekcji...

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



Inauguracja tzw. Wystawy Świątecznej (gwiazdkowej) urządzonej przez komitet Przyjaciół Sztuki Polskiej w lokalu Komitetu w Warszawie

WITOLD ZECHENTER

1)

Avaxara

POWIEŚĆ

ROZDZIAŁ I.

PÓŁ MILIONA FRANKÓW

Na odgłos dzwonka wszedł woźny.

— Proszę zawołać do mnie pana Very.

— Słucham pana dyrektora.

Dyrektor wielkiego banku paryskiego, Juliusz Devadatte, niecierpliwie bębnił palcami po brązowej teczce z zieloną bibułą, którą zdobił wpisany złotem w prawym rogu znak: „B.P.P.B." — „Banque de Paris et des Pays-Bas". Ze złotej papierośnicy wyjął „Turmac'a" ze złotym ustnikiem — dyrektor Devadatte miał słabość do „Turkish — Macedonian Tobacco Company".

Gdy usłyszał kroki w przedpokoju, dzielącym jego gabinet od gabinetu głównego sekretarza i hali stenotypistek, nerwowo potarł ręką łysinę.

Zapukano.

— Proszę!

— Dzień dobry panu dyrektorowi!

— Dzień dobry, panie Very — rzekł dyrektor i silnie zaciągnął się wonnym papierosem. — Niech pan siada.

Pan Very, młody urzędnik bankowy, szybko awansował, dzięki niezwykłej sumienności i pracowitości. Usiadł w fotelu obok dyrektorskiego biurka i wpatrywał się w dyrektora wiernymi, czarnymi oczyma.

— Proszę pana — zaczął dyrektor — po tych kilku latach naszej współpracy — doprawdy — nie chce mi się wierzyć.

Słowa przychodziły mu z trudnością.

— O co chodzi, panie dyrektorze? — spytał Very łagodnie.

Dyrektor poprawił się w fotelu i nagle rzekł twardo, wpatrzywszy się w urzędnika:

— O pół miliona franków!

Pan Very patrzył nań współczująco:

— Nie rozumiem.

— Nie rozumie pan?

— Nie!

— Wczoraj po południu przeprowadziłem rewizję pańskich książek — rzekł dyrektor Devavatte, i westchnął.

— Co?

Ręka urzędnika silnie ścisnęła rzeźbioną poręcz fotelu.

— Wydało się to wszystko wczoraj — czek wystawiony na sumę 125.000 franków dla —

Pan Very był widocznie blady.

Dyrektor Devadatte westchnął znowu:

— Zresztą po co będę panu tłumaczył. Pan wie najlepiej. Wydało się to wszystko — i dobrze dla pana, że wydało się wczoraj, gdy suma ta wyraża się cyfrą pół miliona franków; a więc kwotą możliwą jeszcze do spłacenia. Rozumie pan moje położenie. Powinienem właściwie zawiadomić o tym — no, pan wie — policję... Ale cóż — byłoby pisanie w gazetach — skandal pewien, a ja muszę się liczyć z psychologią moich klientów. Wolę więc — wolę załatwić to z panem w cztery oczy. Pół miliona franków z pieniędzy bankowych pan — pan, tak niby — niby wziął pan — więc — rzecz jasna — klientów naszych ograbiać nie można — ani sumy tej pokryć nie można z dochodów banku, które przypadają osiemnastu wspólnikom — ja między nimi nie jestem. Któż więc pokryje te pół miliona franków.

Dyrektor Devadatte odważył się spojrzeć na urzędnika. Urzędnik spojrzał na dyrektora i spuścił wzrok. Ale dyrektorowi zdawało się, że w oczach tych wyczytał to samo pytanie: któż więc pokryje te pół miliona franków?

Wobec tego odpowiedział:

— No, tylko pan!

Very wzruszył ramionami.

— 125.000 franków...

— Te wczorajsze?...

— Tak.

— Ale reszta? 375.000?

Pan Very wykonał ruch wskazujący, że franki mają dziwną właściwość rozpływania się i znikania.

— Więc musi pan wystarać się o nie, by zwrócić bankowi.

Pan Very wstał.

— Proszę zawiadomić policję.

— Jakto?

— Proszę zawiadomić policję.

— Ależ mówiłem panu.

— Wdzięczny jestem panu, dyrektorze, że pan chce mnie jeszcze ratować. Ale to się na nic nie przyda.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie ma skąd oddać 375.000 franków.

— Ależ ja nie żądam ich dzisiaj!

— Jutro?

— Ależ, panie Very! Chcę panu dać termin — możliwie jak najdłuższy — aż do najbliższego zebrania właścicieli, na którym musi być podany dokładny stan kasowy. Zebranie to odbędzie się za cztery miesiące.

— Więc pan sądzi, że ja za cztery miesiące — że może zdołam zaoszczędzić 375.000 franków z mej pensji bankowej — 850 franków i 75 centimów, jeżeli nie odliczamy znaczka stemplowego na rachunek za tychże centimów 50! — zawołał pan Very i wybuchnął gorzkim śmiechem.

— Przede wszystkim — rzekł dyrektor — nie będzie pan już otrzymywał owych 850 franków i 75 centimów, jeżeli nie odliczamy znaczka stemplowego na rachunek za tychże centimów 50 — gdyż po tym co zaszło, traci pan u nas posadę. Rozumie pan przecież — nie mógłbym zostawić pana — obawiałbym się — zresztą jest to dla dobra pana.

— Rozumiem doskonale — szepnął urzędnik.

— A jak pan zdoła w przeciągu czterech miesięcy oddać 375.000 franków — dziś mamy 29 sierpnia — więc do połowy grudnia — w to nie wchodzę. Nie wiem! Może pan coś z rodziny — ten Very w Lyonie to jakiś krewny pański — to bardzo bogaty człowiek... mamy jego konto...

Wstał.

— Chcę zakończyć tę niemiłą rozmowę. Proszę zrozumieć: chcę dla pana zrobić ile jest możliwe. Niech pan przyzna, czy którykolwiek z dyrektorów banków — w takiej sytuacji — pan wie przecież — policja, śledztwo, skandal — więzienie i takie tam historie... Bronię pana przed tym, jak pan nie potrafił się obronić przed pokusami Paryża.

Pan Very zaśmiał się gorzko.

— Paryża!

— Więc nie?

— Naturalnie, że nie!

— Ach, pański urlop w lipcu... Monte...

— Tak... Monte Carlo...

Dyrektor rzekł po chwili:

— Wszystko jedno... Więc bronię pana... Pańską rzeczą jest w przeciągu tych czterech miesięcy postarać się... Wiem, to trudne, ale nie niemożliwe. Jeżeli nie — pan rozumie — wyda się wszystko — musi się wydać — przed ogólnym szkontrum sam muszę oświadczyć: 375.000

Pan Very skłonił się.

— Dziękuję panu, dyrektorze.

Podszedł do drzwi.

— Te 125.000 dostanie pan dyrektor za godzinę. Nie mam ich przy sobie. Były



Góralki w strojach regionalnych z okolicy Jaworzyny (która niedawno wróciła do Macierzy) przed wyruszeniem na Pasterkę



Elegantki francuskie zapożyczyły pomysłów do kapeluszy ze starych, tradycyjnych nakryć głowy wieśniaczek bretońskich. Na zdjęciu można porównać trzy takie pomysłowe naśladownictwa

przeznaczone na spłacenie ostatnich długów...

— Dobrze. Naturalnie, jeśli ich pan nie nadeśle — to będzie się liczyć pół miliona — za cztery miesiące.

Pan Very rzekł nagle:

— Ja ich nie nadeślę!

— Co?

— Nie nadeślę. Oddam wszystko za cztery miesiące — lub nic. Mam przecież — urlop! Spróbuję szczęścia....

— Jak pan chce. Więc — pół miliona.

— Pół miliona.

— Do widzenia panu.

— Do widzenia, dyrektorze i dziękuję...

Drzwi zamknęły się.

Dyrektor Devadatte otarł pot z łysiny. Był zadowolony, że minęła ta niemiła rozmowa. Był zadowolony także ze siebie. Któryż z dyrektorów banków postąpiłby tak ludzko, tak po ojcowsku, jak on? Ratuje nazwisko młodego człowieka, który tak zgubnie dał się ponieść na drogę występku. Jeżeli zaś nie zapłaci do czterech miesięcy — ha — wtedy trudno...

Wyjął z szuflady biurka papier firmowy, napisał u góry datę — 29 sierpnia — i kilka linijek. Potem z małej karteczki wyjętej z portfelu przepisał szereg liczb.

Wysuszył starannie, złożył i schował do portfelu.

ROZDZIAŁ II.

A I-BIS, BYRRH A L'EAU I „L'AMI DU PEUPLE"

Stojąc na platformie autobusu, można doskonale obserwować uliczny ruch Paryża. Jest to rzecz bardzo ciekawa, o ile obserwatorowi nie spieszy się i nie drażnią go wstrzymywania ruchu na każdym prawie zbiegu ulic.

Młody, elegancko ubrany człowiek wskoczył zgrabnie do autobusu A I-bis, opuszczającego swą stację końcową pod Gare St. Lazare.

Zapadał słodki zmierzch września, chylącego się już ku październikowi. Nad huczącymi ulicami olbrzymiego miasta rozpościerała się cisza zachodzącego słońca i przeczucie tak dziwnie złotych na łunie od świateł gwiazd, których blask blednie jednak przy gwiazdach Citroena, zamieniających surową wierzę Eiffla w bukiet barw.

Młody człowiek, stojąc na platformie autobusu, wdychał głęboko ciepłe powietrze, przesycone benzyną i patrzył na złotą kopułę wielkiego magazynu „Au Printemps" i przecudną liliowo-biało-różową reklamę „Galeries Lafayette". Potem owinął go wir placu Opery i podziwiał konduktora, spokojnie wywołującego numery kolejności w ciżbę tłoczących się zdenerwowanych kobiet i mężczyzn.

Autobus mknął szybko po szczelnej, asfaltowej avenue, minął Comedie Francaise, zahuczał w ciasnej bramie wjazdowej Louvre'u i potoczył się łukiem wśród starych murów, ułożonych w podkowę najbogatszego w świecie muzeum. Na prawo roztoczyła się piękna panorama Tuilleries i na jeden moment w środkowym łuku l'Arc de Triomphe du Carrousel zamigotały światła Champs-Elysées.

Potem wieczorem Sekwana w migocie białych i czerwonych lamp mostów i czerwono obramowane światłem kontury teatru Sarah-Bernhardt na Châtelet Quai wznoszący się w górę, aż do placu St. Michel i łaciński bulwar, wesoły, studencki „Bulmiszel".

Młody człowiek nacisnął dzwonek, umieszczony przy wejściu do autobusu i gdy autobus zatrzymał się, wysiadł na rogu ulicy Vaugirard. Dlaczego wysiadł tu, a nie pod fontanną placu Edmunda Rostanda? Dlaczego nie na rue Gay-Lussac? Dlaczego nie pojechał aż do końcowej stacji autobusu A I-bis, do place d'Italie?

Nie wiedział, dlaczego wysiadł w obliczu kościoła Sorbony. W obecnym jego bytowaniu było wszystko jedno, gdzie wsiądzie i gdzie wysiądzie.

Ujrzał świeży, miły „Café de la Sorbonne", przywołujący zielono pomalowanymi, olustrzonymi ścianami.

Wszedł.

Za tych kilkadziesiąt franków, które mu pozostały, mógł sobie jeszcze pozwolić na zadowolenie apetytu czy pragnienia, ile razy tylko chciał. A potem.

Potem?

Nie chciał myśleć o tym „potem", które przecież zmusi go do myślenia o sobie za parę dni...

Usiadł i zamówił byrrh.

— C e c ?

— A l' e a u.

Popijając czerwony płyn, stojący na pograniczu aperitif'u i wina, gorzko rozpamiętywał ostatnie tygodnie swego życia.

— Monte! — szepnął, dolewając l' e a u g a z e u s e. — Monte Carlo! 125.000, które miały mu dać pół miliona dla pana Devadatte, pomnożyły kapitał kasyna w przeciągu kilku dni...

Very wrócił do Paryża i — jeździł autobusami.

Do kawiarni wpadło nagle czarne, brudne indywiduum, ryczące chrypliwie:

— „L' I n t r a n" — „L' A m i d u P e u".

Paryscy uliczni sprzedawcy gazet mają dziwnie donośne głosy. W pierwszych dniach pobytu w Paryżu nieprzyzwyczajony nowicjusz może sądzić, że ma do czynienia z niebezpiecznymi szaleńcami dla sportu nietrzymanymi w zakładzie i z powodzeniem zamiast kupić jakiegoś „L' A m i d u P e u p l e" może wziąć nogi za pas i uciec do swego mieszkania.

— L' A m i — rzekł pan Véry.

Czytywał „L' A m i d u P e u p l e" pana Coty nie tyle dlatego, jakoby dzielił jego przyjaźń do ludu, ile dlatego, że lubił jego drogie perfumy, na które lud absolutnie nie może sobie pozwolić.

Kelner, świecący wysłużoną łysiną, patrzał już ze zdziwieniem na gościa, który w wieczornej godzinie, gdy kawiarnia jest zatłoczona, siedzi tak długo przy jednym b y r r h' z e i spokojnie studiuje gazetę. Ale zdziwienie jego przeszło w niecierpliwość, gdy spostrzegł, że młody człowiek skończywszy „c z ę ś ć r e d a k c y j n ą", najspokojniej zabiera się do czytania długich beznadziejnie, petitowych kolumn ogłoszeniowych! Jak to długo potrwa?

Nagle —

Pan Véry pochylił się nad dziennikiem — przywarł oczyma do ogłoszenia, odcinającego się dwuszpaltowym układem na zaledwie „drobnych".

— 11, r u e d u H a v r e — szepnął.

Rzucił okiem na talerzyk, na którym widniała wypisana cena (jedyna miła rzecz przy paryskich cenach kawiarnianych), rzucił na stół pięć franków i wybiegł z „C a f é".

Łysy kelner uśmiechnął się do franka pięćdziesiąt napiwku i przebaczył gościowi jego zbyt wytrwałe studiowanie dziennika.

Pan Véry zbiegł bulwarem do rogu r u e d e s E c c l e s. Przy przystanku zatrzymał autobus — był to znów A I - b i s.

Stał na platformie, ale nie widział już „B u l m i s z l a", ani placu S t. M i c h e l,

Ciąg dalszy na stronie 1033.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

NOC WIGILIJNA

Chwilka, a wzruszeń i ciepła w niej tyle,
Że wzrok zasłania mgła,
A słowa rwą się z ust, jakby motyle
I w duszy szczęście drga.

Chwilka, a starczy za wszystko, co przeszło,
Jak głuche, chmurne dni,
Chwilka, a taki w krąg uczuć czar wskrzesza,
Że oczy srebrzą łzy.

Rodzi się, ona w grudniową noc białą,
Jak bajek złotych sny
I tchnie zapachem leśnych choin cała
I pieśnią kolend drży.

Maria Zemmlerówna.

DOBRE RADY PANI ZOFII

CHĘTNIE!

„Taka sobie Halina“. Nie wyrzekaj, Dzieciaku Ty Mały, bo nie masz po temu powodu. Ty sama stanowisz największą „protekcję“, a ja Cię chętnie wliczam w grono moich miłych pupilów.

Czuj się w naszej „Krainie“ jak najlepiej i bądź mi zawsze zadowolona!

Wierszyk oddałam Wujkowi do Teczki.

Pozdrawiam Cię miłym uśmiechem i zamieszczam Twój apel:

„Kto z „Krainiaków“, (musi to być członek o anielskim charakterze i cierpliwości) napisze do mnie, otrzyma murowaną odpowiedź. Cierpliwość i anielskość poszukiwane są do pomocy przy odczytywaniu listu, pisanego przeze mnie.

Kończę i ściskam! Czy kto się zlituje i skrobnie choć maleńki, ale miły liścik?“

ZAPOMNIAŁAŚ

Zocha W. Zapomniałaś, Dziecino, w ostatnim swym liście podpisać się pseudonimem, a ja teraz nie wiem, kim właśnie jesteś. Na drugi raz pamiętaj proszę o tym!

Życzę Ci Szczęśliwych i Wesołych Świąt i czekam na następny list!

ŚLĘ WAM ŻYCZENIA

„Irusia z Wołynia“ o wszystkich pamięta,
Całą swą „Rodzinkę“ ma zawsze na oku,
Życzy, by wesoło minęły „Jej“ święta, —
Bożego Narodzenia i Nowego Roku!

Pani Zofii życzę miliona wygranej.
Wujkowi Januszowi nieco większej teczki,
A ponadto żonusi pięknej i kochanej,
Bo ciotunię w „Krainie“ pragną mieć [dziateczki.

I dużą — szczerych życzeń wiązankę,
Ślę dla kochanej „Krainy“.
Mocno całuję „Młodą Lublinianke“,
I uśmiech szczery łączę dla „Kaliny“...

„Zairo“ — Niechaj „Kochane Oczęta“,
Jak „Czarodziejki“ lśnią —' i niech się nie (chmurzą,
A i „Wędrowna Chmurka“ niechaj pamięta,
Że spokrewniona jest w „Krainie“ z „Burzą.

„Rowerzystce z Pomorza“ — życzę powodzenia,
„Zabłąkanemu Chłopcu“ — kwieciem słanej [drogi,
By pod „Płaczącą Brzozą“ poszukał schronie- (nia,
Bo „Niedźwiedź Puszczy“ czasem bywa srogi...

I Ciebie kocham „Biała Uajali“ —
— Aż, krrrach — Już koniec natchnienia [mojego
Gdzieś popłynęło na „Szarej Fali“
Więc pozostałym — „Roku Dosiego“!

Irena Maria Wójcikowska.

ABYŚ ZAZNAŁA SZCZĘŚCIA!

„Irusia z Wołynia“. Dziecino, przestraszasz mnie, czy naprawdę tak źle z Twoim zdrowiem? Wyglądasz tak zdrowo na fotografii! Wierzę, Kochanie, że Pani Zarzycka nazwała Cię dzielnym człowiekiem, ba ja Cię również za takiego uważam. Nie znam Twojej przyjaciółki osobiście, ale za to znam jej powieści. Jak wszystkie młode dziewczęta, pochłaniałam kiedyś talenty jej „Dzikusek“ w różnych odmianach.

Piszesz mi w drugim liście, że słuchasz często śpiewów i bajd wołyńskich — spróbuj przelać na papier swoje wrażenia. Tematy wołyńskie są bardzo ciekawe, a oryginalność ich zasługuje na utrwalenie w druku.

Przejęłam się tym, co mi piszesz o swoich dziejach i pragnę gorąco, aby one teraz zmieniły się stanowczo na lepsze. A także, aby tegoroczne święta Bożego Narodzenia przyniosły Ci szczęście, na które tak długo czekasz i które wreszcie winno stać się Twoim udziałem!

Z GŁĘBI SERCA CI ŻYCZĘ!

„Nieszczęśliwa Niniusia“. Dziecino! Powiedziałam Ci już, że damy ogłoszenie w „Mojej Przyjaciółce“ o pracę dla Ciebie, ale dopiero wówczas, gdy będziesz już gotowa ją objąć; na razie kończ ten kurs, bo on Ci się mocno przyda.

Święta gdzie spędzisz, Kochanie?

Życzę Ci z głębi serca, abyś znalazła tę upragnioną posadę a z nią spokój wewnętrzny i radość!

A teraz całuję Cię i zamieszczam Twój gorący apel:

„Kochani „Krainiacy“! Zwracam się do Was za pośrednictwem „Krainy“ z gorącą prośbą. Wiem, że macie wszyscy dobre serca i dopomożecie mi w moim nieszczęściu. Szukam pracy, bo żyć bezczynnie nie potrafię. Może być nawet na krańcu Polski. Umiem pracować i nie boję się niczego. Jestem zdrową, młodą, dobrze wychowaną. Mogę wychowywać dzieci, objąć kuchnię — wszystko! Temu, kto mi pomoże w trudnym położeniu, będę wdzięczna śmierci!

Pracę mogę objąć od 2 lutego 39 r. Czekam z wiarą, że znajdzie się ktoś o dobrym sercu i dopomoże mi.

Wszelkie listy proszę przysyłać na adres: Poste-restante — Chojnice, dla „Nieszczęśliwej Niniusi“.

Serdeczne pozdrowienia P. Lolkowi z Pszczyny, P. Jur. Cz. Karasin i czekam wiadomości!“

TE STANY SĄ ZAWSZE AKTUALNE

„Rozbójnik“. Bardzo ucieszyłam się z Twego powrotu do „Krainki“, choć pod zmienionym pseudonimem. Rozumiem ja Twoje pragnienie, ogniskujące się na tym, aby wszyscy czł. „Krainy“ stali się ludźmi na wskroś radosnymi i zadowolonymi z życia, ale z drugiej strony wiem, że projekt Twój nie zniósłby egzaminu, pod który poddawałby go koleje życia różnych ludzi. Nieszczęście i smutek jest zawsze aktualny i będzie nim tak długo, dopóki będzie istniał świat, a na nim ludzie! Zaś sama zmiana pseudonimów niczego by w życiu naprawdę smutnych samotników i nieszczęśliwców nie zmieniła. Dlatego też nie przychylam się do tego projektu.

Oj, ale wypisałeś tych komunikatów! Będę musiała, niestety, je skreślić!

Życzę Ci prawdziwej radości przy łamaniu opłatka i przechodzę do przedrukowywania:

„Venus“. Przyjmij pociąg pozdrowień od kogoś z Bydgoszczy S-s.

„Uran“. Zainteresowałem się Panem. Może pójdziemy przez krainę „Krainy“ wsparci obaj o swe ramiona, i będziemy szukać, kto by się chciał o nas oprzeć. Może napiszesz? Odpowiedź murowana.

„Smutna i brzydka Irka“. Czy pseudonim Pani zgadza się z rzeczywistością? Bardzo wątpię! Może pozwoli Pani przekonać mi się o tym przez napisanie korespondencji?

„Fotoamator“. Nie nazywa się Pan D-a? Może skrobnie Pan do mnie liścik!

„Stara Brunetka“. Czy wolno Panią prosić o zamianę listów? Chętnie chciałbym podyskutować z Panią na różne tematy.

„Wytworny Włóczęga“. Chętnie powłóczyłbym się z Panem, lecz niestety nie zezwala mi na to zdrowie, gdyż od roku choruję na nerki i to bardzo poważnie. Czy wobec tego zgodzi się Pan napisać do mnie? Jeśli zajdzie potrzeba, to będę Pana bronił, gdyż to fach rozbójnika? Proszę się nie obrażać. — Odpis pewny!“

WIGILIA SAMOTNIKA

Idę samotny w wieczór wigilijny...
Na oknach szron — pod nogami lód pęka,
Wciąż pcha mnie naprzód krok melancholijny,
Choć nie wiem dokąd? Na mnie nikt nie czeka.

Lecz idę dalej w tę pustkę śniegową,
Głód mi dokucza — Zimno serce ściska,
Jak biedny tułacz bez dachu nad głową,
Idę wciąż naprzód, a wiatr we mnie ciska.

Lecz dokąd idę? Moi wszyscy umarli!
Ich śmierć okrutna, chwyciła w swe kleszcze,
A może się oni dziś ziemi wydarli,
By ujrzeć mnie tutaj, ujrzeć raz jeszcze?

—o—

Dziś z oczu moich łzy tęsknoty płyną,
Za ojcem, matką, za rodzinną chatą,
Wargi na mrozie, jak kwiat róży giną,
A nogi swe bose owinąłem szmatą.

O, gdybym mógł tak dziś usiąść przy stole,
Tę chwilę bym nazwał: życia uciechą,
Lecz jam samotny — O, jak serce boli,
Bo życie sieroty — to męka bez grzechu.

—o—

Dziś wszędzie radość — choinki błyszczą światłem,
A mnie tak źle i wilii już dawno nie jadłem,
Pod cudzym oknem stałem i patrzę przez chwilę,
Jak ludzie radością witają wigilię.

Br. Pyć.

CZY WUJEK SIĘ JUŻ POPRAWIŁ?

„Wierzba na pustkowiu“. Powiedz mi, kochanciu, czy wujek się już poprawił i czy zadowoloną jesteś z jego ocen?

Mam ostatnio tyle zajęcia — okres przedświąteczny — że nie mam nawet możności śledzenia jego odpowiedzi.

Cieszy mnie, że nabrałaś już tyle sympatii do naszej „Rodzinki“, a z drugiej strony mogę Cię zapewnić, że i Ty cieszysz się wśród nas sympatią niepoślednią.

Życzę Ci moc prezentów na Gwiazdkę i zamieszczam komunikaty:

„Kochani „Krainiacy!“ Tu „Wierzba na pustkowiu“. Czy ktokolwiek z Was zwrócił uwagę na mnie? Ja naprawdę czuję się samotna i jakby na pustkowiu. Przede mną i za mną ciągle kroki... (Czyż) może kto z Was („Krainiący“) prześle mi jasny promyk?

P. J. Baranowskiemu przesyłam pełne uznanie za wszystkie wiersze bez wyjątku. Podoba mi się nastawienie i moralna ich strona.

P. K. Urbaniakowi — również przesyłam uznanie za wiersze „Rozstanie“.

Ktokolwiek z „Krainianek“ lub „Krainiaków“ zechce pierwszy napisać do mnie? Bardzo proszę“.

RYSUNEK ŁADNY

„Ziuk z Bydgoszczy“. Przyjmuję Pana do naszej „Rodzinki“ tym serdeczniej, że jesteś w obcym mieście sam, bez rodziny, a nawet obecnie bez opiekuna, który Cię opuścił na zawsze. Nie mogę z podanych inicjałów wpaść na jego nazwisko. Może mi je podasz?

Wzory Twoje są ładne, przedstawiłam je czynnikom kompetentnym naszego Wydawnictwa, podobają się, ale nie możemy dokonać zamówień, gdyż na miejscu mamy fachowe siły, które wykonują nasze zapotrzebowania. Napisz mi proszę, czy mam Ci zwrócić ten wzór, czy też dać go do przedruku w „Mojej Przyjaciółce“ z Twoim podpisem.

Życzę Panu powodzenia w pracy i przechodzę do przedrukowania Twego apelu, w którym opuszczam ten kawałek reklamowy. Możesz go dać jedynie jako ogłoszenie.

Halo! Kochana Rodzinko". Zink z Bydgoszczy pragnie znaleźć się w Waszym licznym gronie. Przyjmijcie mnie — bardzo proszę!

Panu J. Baranowskiemu przesyłam głośny okrzyk: wierszyki cudne!! „Bola" — widziałem Panią kilkakrotnie w Kruszwicy — pozdrawiam! „Nell z Bydgoszczy". Co nowego na Pięknej? Myślę o Tobie często „Aneczku" przyjm radosne pa! „Marzące oczy" — Chętnie służę jako przewodnik po Bydgoszczy, tylko, czy moja „facjata" będzie Pani odpowiadała? Wątpię! Pozdrowienia przesyłam całej „krainc**e**" bez wyjątku — od „Wenus", „Nimfy" „Afrodyty" aż do „Brzyduli" włącznie!

PROSI O PRZYJĘCIE!

„Tajemniczy Nieznajomy" prosi nas o przyjęcie do „Krainy", oznajmiając, że mieszka w małym miasteczku i jest samotny. Między nami pragnie znaleźć przyjaciela. Myślę, że znajdzie bez większego trudu.

Pozdrawiam go i zamieszczam komunikaty.

„Wołyniak", Panie Julku, chociaż nie znam pana osobiście, jednak znam jego jedną tajemnicę Proszę przyjąć serdeczny uścisk dłoni!

„Kazimierz Junoszyc". Nazywa się pan Z. L. Czy zgadłam? A wiem jeszcze więcej!

„Szare Oczęta". Dziękuję za odpowiedź i fatygę. Wkrótce znów napiszę. Pa!

„Kresowianka". Przypadkiem dowiedziałam się kim jesteś. Zasyłam Tobie i dla siostry A... wesołe „pa"! Wkrótce odwiedzę Was.

„Loniek". Pan jest studentem medycyny? Bardzo dobrze! Ależ czemuż to panu nie podobają się „Moje Powieści", co? Jest tylko wzmianka o S... Może pan napisze do mnie?

„Dziewczynka z zaklętego młyna" proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia i czy mogę oczekiwać liściku, bardzo o to proszę!

Wszystkim miłym i sympatycznym „Krainiakom" i „Krainiankom" zasyłam moc pozdrowień i proszę listy kierować na ręce p. Zofii. Zapewniam wszystkich, kto do mnie napisze, będzie na pewno zadowolony z nawiązania nici korespondencyjnej z „Tajemniczym Nieznajomym".

PIERWSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE!

„Ass". Przyjmuję Pana do naszej „Rodzinki" i życzę, abyś znalazł w niej miłych rozmówców, a bodaj przyjaciół!

Co do mnie, to jako nowemu członkowi „Krainy", przesyłam Panu pierwsze życzenia świąteczne szczęścia i pomyślności i zamieszczam wyjątek z Jego listu:

„Kto pragnie poznać Europę, Afrykę Półn., oraz Małą Azję — niech do mnie napisze, a bardzo chętnie podzielę się wrażeniami z moich podróży. O ile i zdjęcia będą kogoś interesować, również je złożę na „stos ofiarny". Czy o sobie też mam coś napisać? Ażeby nie być owiany nimbem tajemniczości — lat 28, wzrost 167 i pół cm., szatyn, oczy piwne — dość! Już i tak za dużo powiedziałem. A teraz czekam b. cierpliwie — kto pierwszy do mnie napisze (koresp. w języku polskim, niemieckim, angielskim, francuskim i rosyjskim"!

ZAWSZE BĘDĘ PAMIĘTAŁA!

„Starsza Panna". Odpisuję na trzy listy Pani, Droga Moja! Wszystkie nadeszły, lecz dopiero dziś mogę na nie odpowiedzieć.

Tak miło mi było przyjąć obietnicę Pani, że będziesz się starała co miesiąc przysyłać mi choć jeden list. Kochana jest Pani ogromnie i wiem, że zawsze będę o Niej pamiętała.

Numer 46 kazałam Pani przesłać.

Owszem, mnie się powodzi dobrze i tak jak Pani ze swej pracy, ja jestem zadowolona ze swojej.

Pani Maria rzeczywiście wyjechała i jest zadowolona ze swego obecnego życia.

Pięknie to z Pani strony, że pomogłaś w potrzebie koleżance — myślę, że dobry uczynek wyjdzie Ci na dobre i może los Cię wynagrodzi zań w przyszłości. Zresztą to, co czynimy dobrego, nigdy nie ginie.

Życzę Pani moc radości w święta, które spędzisz u Brata.

Wujek Janusz serdecznie dziękuje za pamięć i przesyła ucałowanie rączek.

„Jutrzenko"! Za pozdrowienia dziękuję! Mnie było również przykro, że przed wyjazdem z Panią się nie widziałam. Czy mogę poprosić o list?

„Smutna Kazieńko"! Co Pani porabia? Czy ręka wyleczona? Serdeczne pozdrowienia dla „Blanki", „Irka", „Szukającego Podchorążego" i p. Rawickiego.

PRZY WIGILIJNYM STOLE...

Czy tylko sami będziemy przy stole
w ten wieczór święty, stojący za szybą?
Niech nikt nie zbraknie dziś w rodzinnym
bo orszak cieni także do nas przybył.. (kole,
Kiedyś przy stole gwarzyli wesoło
nasi rodzice, bracia i dziadkowie,
Dziś puste miejsca stoją już za stołem,
wspomnienie tylko dźwięki mowy łowi.
Dziś w święty wieczór, łamiąc się opłatkiem,
Ich blade cienie ujrzymy przy sobie.
Bóg będzie wtedy niewidzialnym świadkiem,
leżąc na sianie w betlejemskim żłobie.

Maria de Schoenfeld Hayderowa.

DOCZEKAŁAŚ SIĘ!

„Samotna Rusałka". No i doczekałaś się mej odpowiedzi, Droga Dziecino, a tym samym wywiały Ci z główki brzydkie myśli, że o Tobie zapomniałam. Prawda?

List dosłałam, komunikaty zamieszczam, a Ciebie całuję serdecznie.

Halo! Halo! „Samotna Rusałka" prosi, aby która z miłych torunianek, zechciała nawiązać z nią korespondencję! Bardzo mi na tym zależy, więc proszę bardzo, niech się która odezwie, a ja odpiszę zaraz.

Pozdrawiam serdecznie: „Bursztynowe Serduszko", „Samotną Włościankę", „Rusałkę", „Zbijobruka Poznańskiego" i całą „Rodzinkę". Ekstra pozdrowienia dla „Marzenki", miłych torunianek dla „Jasia Sokoła", „Pella" i proszę piszcie do mnie wszyscy, którzy macie odrobinę serca i dobrych chęci, a ja na pewno odpiszę!"

POWINNAŚ OTRZYMAĆ KOCHANY LIST

„Sława". Wiem i ja, że niebardzo ładnie jest długo milczeć, ale... gdy się ma moc pracy, niełatwo znaleźć czas potrzebny do rozmowy ze znajomymi. Na taki właśnie brak czasu uskarżasz się Ty, Kochana, a i ja także. Zatem nie mamy sobie obie nic do zarzucenia — prawda?

Życzę Ci z serca, aby w dzień Wigilii zawitał do Twego domu ośnieżony listonosz z jakimś bardzo, bardzo miłym listem od kogoś z naszej „Krainy"!

Za fotografię dziękuję — schowałam ją sobie na pamiątkę...

„Kraina" ma od Ciebie wiele serdeczności!

LUBIĘ ZŁOCIENIE

„Przedwiośnie". A wiesz Ty, Dziecino Droga, że ja ogromnie lubię złocienie — mimo, że są bezwonne i mimo, że noszą miano kwiatów smutku lub, jak Ty to określiłaś, kwiatów grobu. Tak, lubię je za ich złotawo — brązową barwę, za to, że kwitną tak późno i że są tak melancholijne.

A Ciebie lubię także, mimo, że porównałaś się do złocieni, a może... a może dlatego właśnie!...

Dziękuję Ci za życzenia i odwzajemniam się najserdeczniejszym życzeniem dobrych, jasnych, szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia!

„Marychno z Łodzi"! Potęga prawdziwej miłości jest zbyt wielki, od niej uciec nie można. „On" to zrozumie i... wróci. Wiesz! Całuję Twój kochany buziak.

„Carmen" — jesteś ogromnie słodkim stworzonkiem.

„Bajce", „Smutnej i Brzydkiej Irce", „Basi" (wybacz, że nie napisałam, ale nie było mnie w lecie w domu). „Wędrownej Chmurce", „Czarodziejce", „Białej Uajali", ślicznemu „Chochlikowi" i „Stelli" — ślę moc miłych pozdrowień!

„Czarny Hajduczku" — strasznie mi przykro, że nie mogłaś mnie odszukać. Szkoda! Pamiętasz, co było rok temu...? Może niedługo do Ciebie „skrobnę".

„Heńku" — jakie wrażenie uczyniło poznanie mojej... kuzynki? Proszę wybaczyć Jej i mnie!"

DZIĘKUJĘ CI!

„Słoneczna Jasieńka". Odpowiadam na list, w którym mnie zapewniasz o swym przywiązaniu i o tym, że modlisz się o moje szczęście. Dziękuję Ci, jedyna, za Twoje dobre serduszko i wzajemnie przyrzekam największą życzliwość.

A teraz zamieszczam Twój apel do „Krainiaków":

„Chciałabym bardzo, ażeby w „Krainie" nie było nikogo nieszczęśliwego ani smutnego — chcę natomiast, aby wszyscy byli zadowoleni z życia. Wiem dobrze, że na świecie wiele jest nieszczęść i smutków, ale pomimo to bądźmy radośni, nie dajmy się porwać smutkom!

„Wisiu"! Kochana — Maleńka, dziękuję za zainteresowanie się moją osobą. Twą słodką buśkę całuje tysiące razy i... pisz kochana. nie zapomnij — czekam!

Całej „Kraince" promienne uśmiechy!

ROZUMIEM

K. Sk. — R. Sprawę prenumeraty załatwiła nasza administracja.

Rozumiem Panią i nie mam Jej nic do wyrzucania. Cieszy mnie, że pamięta Pani o nas.

Na zbliżające się Święta Bożego Narodzenia ślę Pani moc serdecznych życzeń szczęścia i pomyślności!

A teraz komunikaty:

„Dziewczynce z zaklętego młyna". Odwzajemniam pozdrowienia. Dziękuje Ci, milutka i sympatyczna dziewczynko, za Twoje dobre serduszko. Jesteś dla mnie promykiem słońca, w mym smutku i samotności. Bądź szczęśliwa i nie zaznaj nigdy w życiu goryczy! Pa. Wpadnij kiedy.

„Biała Uajali". Co jest powodem twego milczenia? Szczerze Cię, dziecino, pozdrawiam.

Pozdrowienia dla p. Ciuchowej i Szyszkowej Dla Peli Wernerowej i Heli Wernerowej — ślę po szczerym całusie Władzia S...

SŁOŃCE I ŻYCIE...

Gdy zachodzące słońce krwawi nieba smugi
I ostatnimi blaski, żegna Matkę ziemię,
Do ostatka oddaje jej swoje usługi...
I pieści pocałunkiem — różowym promieniem
I tak im żal się topić w martwym oceanie,
Na który noc skrzydlata rozkłada swe cienie
I choć wie, że okres rozłąki niedługi —
Śle pożegnanie!
Ostatnimi blaskami ze krwi i fioletu
Daje znać ziemi, że oto stanęło u mety...

Życie ludzkie, gdy czuje sił i wiary schyłek,
Rozkwita przed zagładą — kwiatem dziwnej złudy.
Zda mu się, że posiada energię i siłę,
By powstać z łoża i podjąć swe codzienne trudy.
Uśmiecha się do życia ostatnich iskierek
I roi plany śmiałe, jak to czynił wprzódy,
Nie czuje, że ta zmiana wróży mu mogiłę,
Zimną kwaterę...
Że tonie, jak to słońce, w nicości bezmiarze,
On na wieki — bo słońce jutro się ukaże...

Eugeniusz Kłosowski.

WIESZ DOBRZE!

„Blanka". Nie pisz mi, Dziewczyno, że sprawiłaś nam rozczarowanie swą osobą, bo sama dobrze wiesz, że tak nie jest. Przeciwnie, ogromnie polubiliśmy Cię tu wszyscy i nieraz wspominamy. Zresztą kto mógłby nie lubić takiego słodkiego bąka, jakim Ty jesteś!

Prośbę Twą wykonałam.

Dziękuję Ci też za jednym zamachem za obie pocztówki z pozdrowieniami, nadesłane z Poznania!

Pamiętam o Tobie zawsze i kocham Cię niezmiennie. Pa!

Komunikaty:

„Smutna Kazieńka", „Córka Wichru", „Starsza Panna", „Ferdy", Tadeusz Rawicki, „Jutrzenka", „Irek", — pozdrowienia! Pamiętacie Żnin i mnie? Z wami było mi bardzo miło i wesoło.

„Czarny Hajduczku"! Mój złoty promyku, w podzięce za te cudne róże całuję Cię mocno!

„Li — Sokolico". Znam Cię. Pamiętasz dawne chwile? Gdy będę w K., wpadnę, by Cię ucałować, Lidio.

„Barciu", „Dumko" „Samotna Włościanko", „Zefi", „Bajko", „Zuch Dziewczynko" — pamiętajcie o mnie!"

A PRZECIEŻ!

„Orlica". Nie możesz pogodzić się z „tą" myślą, prawda? A czy w zeszłym roku nie byłaś wzruszona, gdy otrzymałaś odpowiedź w nr. 6 z dn. 6 lutego br. i dawniej jeszcze?! I wówczas „ta" myśl ani Ci była w głowie, a przecież od owego czasu nic się nie zmieniło, bo zmieniło się to już znacznie wcześniej. Tak, Kochanie, i możesz się teraz śmiało zgodzić ze mną, że ostatni Twój list był mi przykry i napełnił mnie ogromnym smutkiem. Mniejsza! Przyzwyczajona jestem do igiełek losu i umiem znosić cierpliwie ich ukłucia.

Nie znam, Dziecino, tej miejscowości, o którą mnie zapytujesz i nic Ci o niej powiedzieć nie mogę. Przejeżdżałam w lecie autem szosą Żnin — Gniezno — Poznań, ale nie zatrzymywałam się w mijanych miejscowościach.

Życzę Ci szczęścia i radości w nadchodzące Święta i zamieszczam Twoje komunikaty:

„Kresowiaku z Leszna" — milczysz — czy słowa moje nie odbiły się echem? Może jednak napiszesz — czekam! Ślę pozdrowienia.

„Jasiu Sokole" — o jakim liście mówisz w 23 nr. „M. P." — nie pisałam żadnego.

„Wesoły Broneczku" — proszę napisać pierwszy, odpowiedź pewna — może warto — pozdrawiam serdecznie.

„Samotny Chorzów I" — milczenie moje to nie uchylanie się przed konsekwencją słów własnych, tylko powodem nieczytanie w tym czasie „Moich Powieści". Pyta Pan, o jakiej kartce mówię, — odpowiadam o tej, którą Pan napisał na poste restante do B... Proszę sobie przypomnieć dokładnie treść jej, a zrozumie Pan, co znaczy owe słowo. Szkoda, że rzuca Pan na odkrytkę pocztową słowa, nie zastanawiając się nad ich znaczeniem i treścią.

Halo! „Krainiacy" z Pomorza — z okolic Chełmna, Torunia, Grudziądza, Świecia zwłaszcza Ci, którzy lubią wycieczki rowerowe, może zechcą nawiązać kontakt ze mną?"

PRZYJMUJĘ!

„Janek Powsinoga" i *„Lolek spod Grudziądza"*. Przyjmuję Was do „Krainy", bo jakżeż nie przyjąć takich dwóch miłych i wesołych chłopców!

Życzę Wam, aby rzeczywiście napisali do Was „Krainiacy" bez matury, i o ile możności ze wsi (tak, jak tego pragniecie), byście mieli wzajemne tematy do rozmowy.

Listy prosicie kierować na poste restante, Grudziądz, dla „Janka i Lolka".

Pozdrawiam Was mile!

SKRACAM KOMUNIKATY

„M. Rysia". Ależ dobrze już dobrze, nie mam powodu gniewania się na Ciebie i ani mi to w głowie! A kolejki i tak odczekać musisz.

Życzę Ci wszystkiego najlepszego na Boże Narodzenie! Twoje komunikaty nieco skracam, bo dałaś ich za wiele.

„Halo! Serdeczne pozdrowienia i prośbę o list zasyłam autorowi pięknych wierszyków, p. M. G. S. Znam Pana z fotografii, którą otrzymałam od osoby, która zna Pana dobrze. Wyrażam też swe uznanie dla wierszy Pana. Proszę napisać!

„Erosie", proszę mnie sobie przypomnieć i skrobnąć kilka słów — odpowiedź tym razem pewna.

„Romantyczny Śpiewaku!" Zasyłam moc pozdrowień! Chciałabym porozmawiać z Panem. Fotkę Pana widziałam u Wandy R. Może się Pan odezwie?

Dla Irki Kolasińskiej moc pozdrowień i śliczne pa!

Dużo pozdrowień dla: „Reli", „Zbłąkanego Chłopca", „Samotnego Chorzów I", „Te-Ema", „Blanki" i „Samotnego Roma".

Osobne pozdrowienia dla „Marzyciela Mulforda" z prośbą o list, na który odpowiedź murowana!"

CIESZY MNIE!

„Płacząca Brzoza". Cieszy mnie niewymownie że przyczyniłam się trochę do utrzymania Cię w równowadze psychicznej, gdy było Ci jeszcze bardzo, bardzo ciężko na świecie! Lecz niemniej cieszy mnie, że teraz, gdy już jesteś naprawdę szczęśliwa, nie zapominasz o swej przyjaciółce, dzieląc się z nią swymi radościami!

Podobizny Twej nie zamieszczę — a wiesz dlaczego? Aby Twoje szczęście nie uciekło, jak pierzchliwy ptaszek z drzewa! Musisz pielęgnować troskliwie i nieustannie swoje szczęście i skupiać na nim swoje wszystkie odruchy. Rozumiesz mnie — czy tak? Pozdrawiam serdecznie!

„Samotny Chorzów I". A odpowiedź? Czekam! „Ikar IV". Czuję, iż jest Pan pokrewnym duchem — ja też maluję i piszę. Proszę napisać do „Płaczącej Brzozy", „Cygan Nieznany". Ja pierwsza nie napiszę, ale Pan może, „Płacząca Brzoza" czeka!

ŻYCZĘ CI!

„G. 13". Szczęśliwa jestem, że znalazł Pan wreszcie cichą i radosną przystań, z której możesz pod pełnym i szczęśliwym żaglem na szersze już wypłynąć wody. Dbaj tylko, abyś dobrze sterem władał i nigdy o nim nie zapominał!

Słowa Twych podziękowań sprawiły mi satysfakcję. Życzę Ci, aby tegoroczna Wigilia pogłębiła jeszcze Twoje zadowolenie!

Komunikaty:

„Zonia" — wesołych świąt! Szkoda W-wy. „Zaza" — A może wpadnę — mieszkamy blisko — kto wie! Wesołych Świąt! „Marteczka", czy jeszcze tęsknisz? Dlaczego nie byłaś na zjeździe? Domyślasz się kto pisze!"

OTRZYMAŁEŚ JUŻ ODPOWIEDŹ

„Romantyczny Śpiewak". Odpisuję na ten długi list Pana krótko, gdyż muszę jak największej ilości „Krainiaków" choć kilka słów posłać w tym świątecznym numerze.

W kwestii swej noweli otrzymał Pan już odpowiedź. Pozostają jeszcze tylko komunikaty, które zamieszczam poniżej. Aha! Fotografię zachowam na pamiątkę wraz z wszystkimi innymi!

Pozdrawiam Pana i życzę Mu najradośniejszych Świąt!

„Halo! Stud. Halszko Z. — Poznań. Za list serdecznie dziękuję. U nas wkuwanie 27 bm. Promienny uśmiech Ci śle oraz moc serdeczności!

„Słodka Maruszka". Odwzajemniam pozdrowienie. Żądanie spełnione częściowo. Pa! przyjadę!

„Kalino" — ślę Ci ukłony. Jeśli się nie mylę, to się znamy. Dla pewności nawiążmy pomiędzy sobą nić serd. koresp. Pierwszeństwo oddaję płci pięknej.

P. Wandeczko Ka... z Ż. — nie każ mi dłużej czekać, zdradź incognito. Moc uścisków Ci śle —..dek!

„Biała Uajali" — gniewasz się na mnie? Przepraszam, że nie zwróciłem fot. — nie mogę. Pozdrawiam.

Wszystkim Sympatyczkom-tykom ślę milutkie pozdrowienie i proszę o listy, za które chętnie się zrewanżuję".

UWAGA!

„W 45 numerze „M. P." z dnia 6 listopada umieścił ktoś apel skierowany do „Ismaila" — było to na stronicy 890. Ten „Ktoś" nie podał jednak swojego pseudonimu, a chciałbym zdobyć się na odwagę by prosić, aby Pani — Pani Zofio dosłała temu „Komuś" załączony list. Wiem, że będzie to dla Pani kłopot nielada, bo jak tu szukać adresu kogoś, kto nie podał swojego pseudonimu — dlatego będę Pani za tę fatygę wdzięczny i to niezmiernie!"

Podałam wyjątek Twego listu, aby zgłosił się autor apelu do Ciebie i podał mi swój adres, inaczej nie mogłabym dosłać tego listu, gdyż rzeczywiście nie pamiętam już, kto to był.

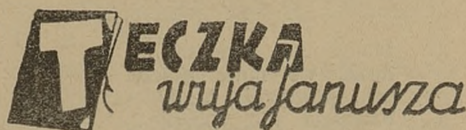
Życzę Ci wesołych i jasnych Świąt, „Ismailu"!

KOMUNIKATY

„Zefi" przesyła komunikaty:

„Blanko" — dlaczego nie odpowiedziałaś na mój list, czyżby przyniósł rozczarowanie? Czekałam długo na odpowiedź, sądziłam, że się zrozumiemy. Ślę dużo, dużo serdeczności.

„Hordzie" — czy czytasz jeszcze „Moje Powieści" i „Krainę"? Jeżeli słowa moje dojdą Ciebie, odezwij się. Wiem, że w Kość... już nie mieszkasz, bo kartka napisana z Gdyni wróciła, posłałam ją dalej — czyż ją odebrał? Napisz, co porabiasz, chciałabym wiedzieć o Tobie dużo. I mnie los zagnał na Pomorze, gdzie dobrze mi teraz — ale ostatnio przechodziłam gehennę — Ślę moc serdeczności i pozdrowień!



MAM JESZCZE TWOJE WIERSZE!

„Irusia z Wołynia". Okazuje się, że mam w teczce jeszcze kilka Twoich wierszyków, których nie wziąłem pod uwagę w ostatniej do Ciebie odpowiedzi. A widzę z przyjemnością, że wierszyki te są niezłe, Dlatego też donoszę Ci to czym prędzej. Otóż mam tu wierszyki: „Księżyc i ja", „Ja się nie boję", „Twe oczy", „Moja Wigilia" i „Ślę Wam życzenia". Do druku przeznaczam wszystkie.

Zdjęcia, które mi przysłałaś, nie mogą być wykorzystane, bo nie mam na to pozwolenia autora.

Życzę Ci wesołych Świąt i oczekuję nowego transportu wierszy!

„MOJA WIGILIA"

Wigilię spędzam dziś sama — w oddali,
I nikt z opłatkiem nie zbliży się do mnie,
I nikt na drzewku świeczek nie zapali —
Smutno i serce me cierpi ogromnie!...

Patrzę — Mróz szyby przystroił w diamenty,
Słucham — Lecz cisza ta cisza jest we mnie,
I choć ten wieczór tak wielki i święty,
Spełnienia życzeń czekam nadaremnie...

Jedno zostało — Te tylko wspomnienie,
Łezką powoli źrenica zachodzi,
Gdy betlejemskiej gwiazdy promienie.
Głoszą, że Chrystus się rodzi...

Irena Maria Wójcikowska.

WIGILIA

Gdy pierwsza gwiazdka błyśnie na niebie,
Nadchodzi chwila „Glorią" owiana.
Jakże się. dziwnie serce kolebie,
Widząc opłatki i garstkę siana...

Już tradycyjne wnoszą potrawy,
A górą ryba — słodycze — mak.
Usiądź przychodniu — jeśliś łaskawy,
Dziś gościnności trzeba dać znak!

Wszyscy w skupieniu — w serca pokorze
Ciche westchnienia niesiemy tam,
Gdzie spoczywało Dzieciątko Boże...
Do betlejemskich zdążamy bram.

Biały opłatek łamiemy w koło,
Łamią się serca i życzeń głosy...
Chwila powagi — i już wesoło
Kolęda chórem płynie w niebiosy.

Płonie choinka — i płoną oczy —
Gloria! Dziś pokój zstąpił na ziemię!
A tam z górnego nieba przeźroczy
Bóg błogosławi w krąg — ludzkie plemię!

Janina Czechowska.

NA RORATY

Noc grudniowa, czarna, głucha
leży ponad światem —
mroźny wicher w okna dmucha,
rzeźbi na nich kwiaty...

Na kościelnej starej wieży
kołyszą się dzwony —
zew spiżowy falą bieży
w różne świata strony...

Przed pałaców trafia progi,
puka we drzwi chaty —
sen przerywa ludziom błogi,
woła na roraty !

Zewsząd spieszy lud w milczeniu
do świątyni proga —
wszyscy myślą o zbawieniu
i o przyjściu Boga...

Przed ołtarzem pleban siwy
w górę dłonie wznosi —
„Spuście nam na ziemskie niwy"
lud z pokorą prosi...

Apolinary Żurawski.

3 WIERSZYKI DO DRUKU

„Biały Wrzos". Przyjmuję Panią do mojej „Teczki" i oznajmiam z satysfakcją, że trzy Jej wierszyki zaklasyfikowałem do druku.

Miło mi będzie przeglądnąć następne, a teraz pozdrawiam Panią serdecznie i życzę Jej wspaniałej „gwiazdki" !

PYTANIE

Widzę dwie drogi: — jedna prosta, biała,
A druga kręta, krzywa, jakaś mała,
Smutna, do góry pnąca się, ciernista,
Ni krzty zieleni — cała kamienista...

Stanęłam u tej i u pierwszej proga,
Którą mam wybrać? — Która moja droga?
Bo przecież żadnej z nich nie widzę końca...
Która z dróg biegnie do krainy słońca?

„Biały Wrzos".

MASZ DOWÓD

„Henry“. Otrzymałem Twój list, w którym prosisz mnie o załatwienie kilku spraw i odpowiedź jeszcze w br., ponieważ od stycznia idziesz do wojska.

Zaznaczyłeś, że moja odwrotna odpowiedź będzie dowodem, że darzę Cię sympatią i że nie jesteś mi zupełnie obcy i obojętny. A ja Ci odpowiadam, że człowiek, który abonuje „Moje Powieści“ od pierwszego ich numeru do teraz bez przerwy, w żaden sposób nie może być mi obcy i obojętny, jak nie jest nim zresztą dla całego naszego wydawnictwa!

W administracji rzecz załatwiłem i kazałem Ci wysłać numer autorski I. K. P.

Wierszyki Twoje poprawiłem i drukuję, acz są mocno słabe.

W imieniu wszystkich, których pozdrowiłeś składam serdeczne podziękowanie i ślę Ci życzenia szczęścia i pomyślności!

Jak wrócisz, napisz zaraz do nas — my tu wszyscy będziemy cierpliwie czekali!

Życzę Ci radosnej Gwiazdki i bądź zdrów!

W WIECZORNEJ MARZEŃ GODZINIE

Halince — poświęcam.

Dobrze jest marzyć w wieczornej godzinie
I szczęście wróżyć z gwiazd tysiąca,
Lub słodko śnić o drogiej dziewczynie,
Gdy w sercu miłość jest gorąca...

— — — — — —

W wieczornej, mej marzeń godzinie,
Gdy na ziemię spłynie szary mrok,
Utkwiony w gwiazd milionach wzrok
Marzy — o ukochanej Halinie.

— Jakąś cudowną mocą spłynie
Dziewczyny, tak ukochanej imię...
W tej wieczornej marzeń godzinie.

Henry Korn.

GDY ZAKWITNĄ BZY...

Gdy zakwitną znowu bzy,
Wróci wiosna ulubiona
I czarowne, złudne sny,
A młodość? Nie wróci już ona!

Gdy zakwitną białe bzy,
Może wróci szczęście moje,
I pokaże złudne blaski swoje —
Gdy zakwitną z wiosną bzy...

„Henry“.

SZCZĘŚLIWY JESTEM!...

„To-ja“. Wiersze bardzo piękne! — wszystkie pójdą do druku. Przyznam się, że zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Dusza Pani, to najczulsza klisza — odbija się na niej najlichszy promyk słońca i najlżejsze drgnienie małej gałązki. Szczęśliwy jestem, że taki talent zawitał do mojej „Teczki“!

ŻŁÓBEK

Maleńki i słaby kładłeś się na sianie
I chociaż drżałeś z chłodu biednej ziemi,
Nie unikałeś bólu, Wszechmogący Panie,
Płacząc nad nędzą naszą łzami dziecięcymi.

Kołyseczką ci matą był żłóbek w stajence:
Boska Twoja pokora ochotnie to przyjęła —
Uśmiechałeś się przez łzy Najświętszej Panienki,
Która całowała Twe małe rączęta.

Podnosiłeś Twe rączki nad ludzkie przewiny,
Rozgrzeszając świat cały, jako Bóg Miłości —
Święcimy dzisiaj znowu Twoje narodziny;
W wezbranych sercach naszych wielka radość gości.

Otaczamy Twój żłóbek w głębokiej pokorze,
Chylą się nasze skronie bólem pałające,
O Malusieńki Jezu, cóż ci damy w darze?
Chyba tylko te nasze serca miłujące!

Nad Twoją kołyseczką majaczy cierniami,
Nieuniknione godło Twojego Cierpienia:
O Boże Dziecię Jezus, wznieś rączkę nad nami,
Nad smutną, ludzką dolą zakreśl znak Zbawienia!

„To - ja“.

NA GWIAZDKĘ PRZESYŁAM...

„Blady Kwiat“. Na Gwiazdkę przesyłam Panu jak najserdeczniejsze życzenia oraz wiadomość, że „Przebudzenie“ jest miłym utworkiem i pójdzie do druku.

A propos „zimnych kropelek deszczu“... Radzę Panu po przyjacielsku mieć ich jak najmniej za kołnierzem, gdyż to może skończyć się nie tak wesoło, jak Pan sobie wyobraża. Tak samo przestrzegam Pana przed tymi resztkami kałuży w butach!

PRZEBUDZENIE

Góraleczce — poświęcam.

Hej! Czy to tak miesiąc błyska
Tam, gdzie gęsty szumi las?
Pójdę powiem ojcu memu,
Że już do dom wracać czas.
A za borem kto tak kuka?
Czyj to sopran echo gra,
Czy to mały nasz pastuszek
Rzędem chude krówki gna?...
Hej! Czy zorza się rozpala
Na błękitnym nieba tle,
Czy też jutrznia bladooka
Ku mnie takie blaski śle?...
Czy w mej duszy świt bieleje?
Czy odżywa blady kwiat,
Może budzą się nadzieje,
Co za dawnych żywił lat?...

„Blady kwiat“.

CO STRACIŁAŚ, „IWO“?...

„Przeklęta Iwa“. Cieszę się, że natchnienie służy Pani i stale prowokuje do pisania wierszy. Są one bardzo smutne i nastrojone na nutę cichego żalu. Co straciłaś w życiu, „Iwo“? Czy coś, co już nigdy do Ciebie nie wróci, choćby w innej formie i postaci? Czy los był dla Ciebie tak nieubłagany, że nawet — „pragnęłabyś chociaż wierzyć, że za wcześnie przestałaś patrzeć w jasne słońce?“ Napisz mi cokolwiek na ten temat, oczywiście, o ile to leży w Twej mocy i o ile zechcesz, przed zupełnie obcym człowiekiem, otworzyć tajniki swego serca.

Do druku przeznaczam tylko jeden wiersz — „U mojej kołyski“. Resztę skazuję na zagładę i to z powodu różnych niedociągnięć, których zresztą nigdy nie brakuje w utworach początkującego poety.

Kiedy znowu Pani do mnie napisze i przekaże mi nowe wiersze?

Ślę Pani, „Iwo“, miły i ciepły uśmiech! Byłbym zapomniał o rysuneczkach! Do reprodukcji, niestety, nie nadają się one. Wypadłyby blado i niewyraźnie. Może uda się Pani narysować coś tuszem lub węglem?

U MOJEJ KOŁYSKI...

U mojej kołyski
Matula śpiewała:
„Rośnij córuś duża
i mocna, jak skała.

Rośnij, jak topola,
jak ten piękny kwiatek“...
Taka to już piosnka
wszystkich naszych matek.

Oj, rosłam ci, rosłam
wesoła szczęśliwa,
A ludzie szeptali:
„piękna będzie dziewa“.

Oj, moja matusia
Zbierała mi róże,
Co roku po jednej —
zebrał się pęk duży.

Oj, dała mi matuś
najpiękniejsze kwiecie.
Teraz na świat spojrzyj,
Moje miłe dziecię.

A gdy matuś moja
Wkładała mi wianek,
życzyła mi szczęścia,
jasnego, jak ranek.

— — — — — —

Matuś ma serdeczna
dusza we mnie płacze,
och, pewno ja nigdy
Szczęścia nie zobaczę...

Powiędły twe róże,
I zmarniało kwiecie,
Ostałam się sama
na tym Bożym świecie.

Matulu jedyna,
Mocniejszam jak skała,
Ona dawno pękła,
A jam pozostała...

„Przeklęta Iwa“.

WUJKOWI NA GWIAZDKĘ...

Wiesz? — Dziwna przyszła myśl do mojej głowy —
Zjawiam się naraz w Twoim pokoiku...
Wszak dziś Wigilia... Dzień mroźny, grudniowy,
Pracy Wujaszek ma jeszcze bez liku.

Znamy się trochę... Ja czytając listy,
Które w swej „Teczce“ piszesz sympatykom,
Rysuję zawsze Wujka obraz mglisty...
Dzisiaj tę samą postać napotykam. —

Ty z odpowiedzi dobrej Pani Zosi —
Z fotki — wysnułeś już co do mnie wnioski —
Nagle się zjawiam (choć mię nikt nie prosił),
Kłaniam się, mówiąc: „Uśmiech Szatanowski“. —

Może pseudonim razi Cię i złości? —
Do stu kaduków posłać miałbyś chętkę...
Przybierasz jednak wyraz uprzejmości
I... zaczynamy długą pogawędkę...

(Koniecznie musi mrok już być na dworze) —
Wiesz? — Zziębłam trochę... pali się kominek —
Wujaszku, słuchaj: Pracę trzeba złożyć!
Poświęć mi dzisiaj choć parę godzinek!...

Ubierz się ciepło — nie trać chwili czasu —
Futrzaną czapę musisz wdziać na głowę...
Umkniemy z tego miejskiego hałasu —
Chcę Ci pokazać wigilię kresową.

— Już na dalekiej granicy stajemy.
Śnieg nam puszysty sypie się na głowy...
Jak cicho... Prawda?... Las jakby niemy —
W ten wieczór dziwny... W ten wieczór grudniowy!

Przed nami słupy. Śnieg je dziś obielił —
Kolczastych drutów stoją dwa szeregi...
Na niebie gwiazdy palą już anieli
I znaczą jasnych dróg bezkresne ściegi...

Wiatr powiał górą, westchnął las głęboko —
Jakby w przeczuciu Boskiej Tajemnicy...
Tam coś błysnęło... Może wilcze oko?
Nie! — To światełko z pobliskiej strażnicy!

Stajemy — ciszą wielką otuleni...
Gdzieś w dali... dali... biją nocne dzwony...
Januszu! — Powiedz, czemu w tej przestrzeni —
Tak bardzo dziwnie jesteś zamyślony?

A Ty, wskazując dłonią strop gwiaździsty,
Mówisz: Odczułem coś nowego w duszy —
Promień przeniknął mię nagle świetlisty...
Pieśń jakąś czuję, której nic nie zgłuszy!

Że chciałbym dalej pójść... Na tamtą stronę,
Gdzie w mroku nocy pogrążeni ludzie...
Mówić, że jasne gwiazdy w górze płoną.
Mówić o Boskiej — im — Miłości Cudzie!

Że chciałbym tamte zaprzedane dusze,
Wyrwać występkom i piekielnej mocy
I chciałbym gorzkie z oczu łzy osuszyć,
W godzinę świętą — tej grudniowej nocy!

Ja czuję teraz, iż po tamtej stronie —
Gdzie z całej ziemi, precz wygnano Boga —
Niejeden człowiek może łamie dłonie,
Duszę niejedną — rozpacz targa sroga!

Zamilkłeś. — Cisza. — Las się jeno modli —
Gdzieś w dali... dali... biją z wieży dzwony —
Zapominamy, że są ludzi podli...
Januszu! — Czemuś tak bardzo wzruszony!?

Posłuchaj tylko — dziwną mocą dyszy
Ten las głęboki, las tak bardzo stary...
Zda się, że zaraz „G l o r i a“ w nocnej ciszy
Zanucą śniegiem pokryte konary.

Zda się... że oto schylą wnet w pokłonie
Drzew moich dumne, iglaste korony,
Że całym światem wielki szept powionie:
Jezu Maleńki — bądźże pozdrowiony!

Zda się, że oto ich drewniane dusze
Klękną wzruszone, w tym przedziwnym cudzie
Prosząc, by pychę Bóg na ziemi skruszył!
Wołając głośno: Ach! — Powstańcie ludzie!

Zmarzłeś Wujaszku? — E! Nieładnie trochę,
Zabiedzona taka Twoja mina...
Lecz prawda... Z Ciebie to kawał pieszczocha...
Nie jesteś z Kresów — a tylko ze Żnina!

Byś nie zabłądził wśród naszych wertepów,
(Nie myślcie proszę, że to mała fraszka) —
Przez śnieżną połać i ogromy stepów —
Do dom prowadzę miłego Wujaszka...

Zmęczył się srodze, no, bo zawsze siedzi
Nad swoją „Teczką“, wypchaną jak balon...
Naszymi troski, tak się szczerze biedzi —
Poezję naszą, nieraz mocno zżalon.

Tak, Drogi Wujcio! — Jesteś już u siebie...
Na pożegnanie ścisnę dłoń aż miło.
A kiedy gwiazdka zabłyśnie na niebie,
Pomyśl: a może to się tylko śniło?!...

St. Roslewska.

ani Sekwany, ani Louvre'u, ani Opery, ani „Galeries Lafayette".

— Gare St. Lazare — terminus! — zawołał konduktor.

Pan Véry wyskoczył i pobiegł w rue du Havre, wypatrując numeru 11.

ROZDZIAŁ 3.

PRECZ Z KOMUNIZMEM!

Poseł de Ronet przeszedł dłonią po mocno spoconej łysinie, zanim nie doszedł do wyraźnej pointy swej długiej mowy.

Nagrzana sala Chambre des Députés, zatłoczona wpatrzonymi weń oczyma, była naładowana elektrycznością. Takiej mowy dawno nie słyszały te mury. Poseł de Ronet przeszedł sam siebie w elokwencji i — w odwadze. Mowa była druzgocąca. Wprawdzie wielu faktom, podanym przez posła de Ronet, zaprzeczały gorące protesty i sprzeciwy w formie mniej lub więcej obelżywych słów i dwu kałamarzy, jednak jasne było, że mowa ta nie minie bez echa i rząd musi wyciągnąć z niej odpowiednie konsekwencje.

Gdy ustała wrzawa, poseł de Ronet odezwał się znowu:

— Kończę —

— Najwyższy czas! — krzyknął poseł komunistyczny Braunberg, autor wielu słów nawiasowych w dzisiejszej mowie posła de Ronet i jednego kałamarza.

— Powiedziałem już wszystko, co na dziś — na dziś, zaznaczam — miałem do powiedzenia.

— Więcej już pan mówić nie będzie! — ryczał poseł Braunberg.

Krzyżowały się słowa. Nowa wrzawa. Trzaskały pulpity.

— I chcę zakończyć dzisiejszą mą mowę okrzykiem, który powinni powtórzyć za mną ci wszyscy, którym na sercu leży...

— Dobrze wypchany portfel!

— Cicho!

— Milczeć!

— Ty sam milcz!

— Którym na sercu leży — kończył poseł de Ronet — jedyne dobro ojczyzny: jej praworządny spokój — okrzykiem: Precz z komunizmem!

Co się działo po tej mowie w poważnej sali Chambre des Députés, opisały to już dzienniki popołudniowe i wieczorne w rozmaitych oświetleniach. Nie potrzeba więc tutaj podawać opisu tej prawie-że bitwy, jaka rozpoczęła się między zacietrzewionymi posłami i bohaterskiej potyczki prawicy, chroniącej posła de Ronet w przedsionku i u bramy. Spocony, zadyszany, czerwony jak piwonia poseł de Ronet z westchnieniem ulgi spoczął na wygodnym siedzeniu limuzyny.

— Gorąco było — rzekł do towarzyszącego mu posła Mareau.

— O, gorąco! — przyznał poseł. — Obawiam się poważnych skutków.

— Dla mnie?

— Tak...

Poseł de Ronet zaśmiał się.

— Nie lękam się.

— Powinien pan być ostrożny.

— Dużo krzyczeli — i nic z tego nie będzie. Baliby się. Braunberg odgrażał się zbyt wyraźnie, by mogli gwałtownie wystąpić przeciw mojej osobie.

— Jednak już te dwa kałamarze —



Uroczysta akademia ku czci Najświętszej Ma[r]ii P. w sali kinoteatru Roma. Przemawia ks. biskup Gawlina.

— Chybiły celu. Zresztą i tak nigdy nie ma w nich atramentu. Nie lękam się. Niech pan będzie spokojny, panie Mareau

— Czy pan jednak nie za gwałtownie...

Poseł de Ronet niecierpliwie podniósł rękę.

— Daj mi pan już spokój z tą sprawą. Izba już dawno oczekiwała ode mnie wystąpienia przeciw komunistom na tle ostatnich zdarzeń — pan wie. Musiałem. A jeżeli już zdecydowałem się, musiałem to wykonać tak, jak wykonałem. Nie lubię robić nic połowicznie. Wyrąbałem im prawdę — i na tym koniec. Jutro będą oni mówili — napadną na nasz klub, zmieszają nas z błotem. Potem się wszystko uspokoi i ułoży. Tak jak zawsze... Cieszę się, że spełniłem swój obowiązek względem partii.

Poseł de Ronet cieszył się cały dzień. Wieczorem o szóstej zjadł z apetytem obiad i popijając malagę marzył o możliwościach, jakie otwierała mu dzisiejsza mowa.

— Dzisiejsza mowa — szepnął z uśmiechem — była przede wszystkim spełnieniem obowiązku względem siebie samego — względem mojej kariery...

Siedział w swym gabinecie i palił cygaro, jak zawsze po obiedzie. Tę część dnia miał zawsze tylko dla siebie. Ani polityka ani żona nie targały mu świętego spokoju jego wygodnej pracowni.

Marzył. Na jego łysinie lampa elektryczna rysowała bladoliliowe smugi, których blask oprószał dostojną głowę jakby aureolą przyszłych zaszczytów.

Aureolę tę przerwał dźwięk dzwonka od telefonu.

Poseł do Ronet wstał z fotela i zdjął słuchawkę.

— Halo...

— Czy pan poseł?

— Tak, przy telefonie.

— Dobry wieczór...

— Kto mówi?

— Jakto, nie poznaje pan mego głosu?

— Nie. Coś telefon dziś źle odbiera...

— Tu ja, Mareau.

— A, dobry wieczór! Naprawdę, muszę zaraz zatelefonować na pocztę. Od wczoraj wieczora coś się zepsuło w moim aparacie. Głos dochodzi słaby i zmieniony. Czemże mogę panu służyć?

— Nie mnie tylko. Także kolegom Croix-Laval, Rachel i Vernon.

— O, cała nasza paczka! Więc czego chcecie?

— Pana.

— Mnie? — zaśmiał się poseł de Ronet. — Rozmówka polityczna przy winku? Co?

— Tak! Dobrze?

— Doskonale!

— Należy oblać dzisiejszy triumf!

— E, co tam za triumf — rzekł skromnie poseł de Ronet.

— Prawdziwy triumf! Pan nic nie wie?

— O czym?

— O naradzie kuluarowej dwu partyj.

— Jakiej naradzie?

— Nic pan nie wie?

— Nic. Jakich partyj?

— Ależ przyjeżdżajże pan co prędzej! Stos nowin!

Poseł de Ronet płonął z ciekawości.

— Jadę. Gdzie?

— „Café de la Paix", mały gabinet na piętrze.

— Jestem za pięć minut! Ale pan się przeziębił?

— Co?

— Przeziębił się pan, kochany panie Mareau. Chrypka zmienia głos — chrypka i telefon. Więc — od zaraz!

— Halo! Halo!

— Słucham.

— Jeszcze jedno .Posłaliśmy auto. Musi już być przed pańską bramą.

— Dziękuję. Za pięć minut!

Poseł de Ronet powiesił słuchawkę pełen rozkoszy. Triumf! Narada kuluarowa! Dwie partie!

W tej chwili usłyszał sygnał czekającego przed bramą auta.

Wybiegł z gabinetu i zapukał do drzwi buduaru żony.

— Idę — ważne posiedzenie w łonie klubu — triumf — narada kuluarowa — dwie partie — dobranoc!

— Gdzie?

— W „Café de la Paix" — Mareau telefonował po mnie — gabinet — pierwsze piętro — Mareau, Croix-Laval, Rachet i Vernon.

Pani de Ronet pocałowała mądrą łysinę na dostojnej głowie.

— Idź, wykuwaj swą nową ideę — tylko nie upij się.

Poseł de Ronet był już na schodach.

Przed bramą czekało zamknięte auto. Szofer stał na trotuarze.

— Po mnie, prawda?

— Do „Café de la Paix"? — spytał z uprzejmym uśmiechem szofer z długą czarną brodą.

— Tak.

— Proszę, panie pośle...

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Dusze na manowcach

POWIEŚĆ

Profesor skłonił się jej z głębokim uszanowaniem, na twarzy jego spokojnej, poważnej nie można było nic wyczytać, natomiast w oczach żony Andrzej zauważył jakby przyczajenie, strach, że tamten wszystko o niej opowie mężowi, usta jej drgnęły ledwo dostrzegalnie.

Pilnie obserwującemu Andrzejowi to wystarczyło — powziął od razu niezłomne postanowienie, że spyta po powrocie do domu wręcz Heleny, czy prawdą jest wszystko, co słyszał przypadkowo.

Z początku, wyparła się oburzona, jak mógł uwierzyć takim okropnym rzeczom, ma się rozumieć, że to wcale nie o niej była mowa, lecz Andrzej okazał się twardy i nieustępliwy w tym wypadku.

— Nie, nie, Heleno, z całą pewnością mówili o tobie, więc żądam prawdy.

— No, więc tak, to o mnie, prawdę o mnie mówił ten stary błazen: oszukiwałam Karola, oszukuję ciebie, dziecko wzięłam z przytułku; miałam kochanków bez liku, spychałam ich na dno nędzy moralnej i to było moją radością — powiedziała wreszcie z niewysłowioną pogardą.

— O, Heleno, więc tak okrutnie zadrwiłaś ze mnie, tak cię kochałem, rozumiesz chyba, że teraz już nie możesz być moją żoną, mam zupełne prawo wymagać rozwodu, dziecko zostawię u siebie i wychowam jako syna Karola, nie jest przecie winne, że je wplątałaś w sieć swoich niesamowitych kłamstw.

— Nie będziemy mówili o moich kłamstwach i tak mnie nie zrozumiesz nigdy, a co do rozwodu to dobrze, zgadzam się, nie martwi mnie to wcale, ale pozwól tylko pomieszkać jeszcze na razie w twoim domu, powtarzam, odejdę bez żalu, nie wiem jeszcze tylko dokąd.

Helena po tej rozmowie była zgnębiona, nigdy nie przyszło jej na myśl, że przeszłość jej może ujawnić się przed Andrzejem, rozumiała, że mąż jej, pomimo, że jest człowiekiem nadzwyczaj dobrym i wyrozumiałym, nie potrafi już z nią żyć, zapomnieć i przebaczyć jej kłamstw.

Najdziwniejsze, a jednocześnie najsmutniejsze, było dla niej to, że zaczynała kochać Andrzeja, tak, zaczynała go kochać, sama śmiała się z tych swoich spostrzeżeń, bo nigdy nikogo nie kochała, a jeżeli odczuwała, kiedy jakie wzruszenie, to tylko wtedy kiedy coś, co zamierzała, nie udawało się jej i to raczej była zła, niż zmartwiona, a teraz?

Nie, nie będzie zwracała uwagi na to zaradzające się, niby to, jakieś tam uczucie, w ogóle pogardzała wszelkimi „sentymentami", jak nazywała różne lepsze uczucia ludzkie i szczyciła się tym, że ma naturę tak obojętną na wszystko.

„Odejdę w świat i znowu złamię i upokorzę czyjąś duszę, to uczucie do Andrzeja, to złudzenie, zapomnę o nim „prędko". Pomimo tych postanowień, tkwił głęboko ukryty w duszy, choć sama nie zdawała sobie dobrze z tego sprawy, jakiś niepojęty dla niej smutek, że tak się stało wszystko i że Andrzej dowiedział się o tym, co zataiła tak dobrze przed nim. Wiedziała, że Andrzej nie da się usidlić po raz drugi — tak ją kochał, rozczarowanie było za silne.

Jemu nie okazywała niczym, że jednak ją to na tyle przejęło. Spotykając się z nim teraz, spoglądała nań pogardliwie, ironicznie, oczy miały spojrzenie jeszcze więcej ostre, niesympatyczne i zdawały się wyrażać: „A widzisz, myślałeś, że to mnie zasmuci, zgnębi, o nie, drwię sobie ze wszystkiego, co mi tam!"

Andrzej odczuwał jakieś udręczenie moralne; był przytłoczony, jak ciężarym, tym nieszczęściem; spadło na niego tak niespodziewanie, bolało niezmiernie, że został tak oszukany, wyśmiany.

Chwilami nienawidził Heleny, chwilami żałował, że życie przeszło jej bez lepszych uczuć, a nie odczuwa, nie żałuje tego.

Nie chciał jednak już z nią żyć, nie kochał jej! Zresztą, był pewny, że Helena tak samo obojętna odejdzie w świat, aby znowu oczarować kogoś urokiem okrutnych oczu, czarem cichego, kojącego głosu.

Był pewny, że taka istota nie posiada w duszy żadnych lepszych pierwiastków i nie zgadywał, co by takiego mogło się stać, co by ją odrodziło wewnętrznie, bo ani nędza, ani niepowodzenia, ani śmierć najbliższych, co wiedział, że było w jej życiu, nie mogły skruszyć jej niewzruszonej oschłości.

ANNA

W tym czasie została przywieziona z Warszawy chora, Anna Żeleńska, młoda jeszcze bardzo dziewczyna, chora z wycieńczenia i głodu, który cierpiała miesiącami. Odkąd straciła posadę, tułała się po mieście, żyjąc z przygodnych zarobków i głodując, wreszcie słaby organizm nie wytrzymał i upadła zemdlona na ulicy.

Podnieśli ją sanitariusze ze szpitali Andrzeja Kellera, których miał wszędzie w w Polsce, i odwieźli do Ustronia.

Chorowała bardzo długo i ciężko.

Jak tylko przyszła do siebie, zaczęła domagać się ku zdziwieniu wszystkich, aby przyszedł do niej sam dyrektor zakładu, doktor Andrzej Keller. Powiedziano jej, że doktor Andrzej co drugi tydzień przychodzi i do tego pawilonu — chorych jest tak dużo, że nie zdąży odwiedzić wszystkich codziennie, a przecież nad każdym chorym zatrzymuje się troskliwie, nie tak, jak może gdzieś w innych bezpłatnych szpitalach. Naczelni lekarze odwiedzając niby to co dzień chorych, przechodzą szybko przez pokoje i zatrzymują się tylko na kilka sekund przy łóżkach, a dłużej tylko w wyjątkowo ciężkich wypadkach, albo koło chorych znajomych, uprzywilejowanych. O nie! doktor Andrzej nie jest podobny do nich, tłumaczono Annie, był wczoraj w sobotę, zatem za dwa tygodnie, w sobotę lub piątek, odwiedzi ich salę, lecz Anna domagała się, żeby doktor Andrzej zaraz, w tej chwili przyszedł do niej.

Prosiła tak żałośnie, oczy miała tak słodkie, smutne i dziecinne, że dopatrująca ją pielęgniarka nie mogła oprzeć się tym prośbom.

— Doktorze, chora Anna Żeleńska chce widzieć koniecznie pana doktora, dopiero parę godzin temu odzyskała przytomność, boimy się, że jeśli nie uczynimy zadość jej żądaniu, stan znowu się pogorszy, dlatego ośmieliłam się....

— Ależ, idę natychmiast!

Tak, przypomina sobie — chora Anna Żeleńska, taka młoda dziewczyna, widział ją wczoraj, była jeszcze bez pamięci w gorączce. Jakież śmieszne dziewczątko, chce go w tej chwili zobaczyć — cóż to może być?

— Oto, Aniu, doktor Andrzej przyszedł do ciebie. I pielęgniarka stanęła obok, zaciekawiona, co Anna powie doktorowi.



Ośrodek W. F. w Katowicach zorganizował pod kier. trenera Machnickiego kurs instruktorek gier sportowych

— Chciałam panu podziękować za siebie i za wszystkich chorych, którzy tu są teraz i którzy byli przedtem, chciałam panu powiedzieć — pan jest na całym świecie jedynym człowiekiem, zawsze się za pana modliłam, czytając o jego pracy, szpitalach!

— Dziecko, nie jest to moja zasługa, wszystko to stworzył mój brat Karol.

— Tak, wiem, to jego, ale to wszystko jedno, pan jest tak samo, jak on, nadzwyczajny; dość posłuchać z jakim uwielbieniem odzywają się tu wszyscy o panu, jakże musi być szczęśliwa żona pańska?!

Doktor Andrzej zbladł, po twarzy jego przemknął cień bólu wewnętrznego. Anna to zauważyła; czyżby czym uraziła tego tak dobrego człowieka, dlaczego na wzmiankę o żonie tak zmienił się cały?

Zamilkła spłoszona.

Andrzej pogładził pieszczotliwie ciemną główkę Ani.

— Jeżeli jestem taki dobry, dziecko niech też będzie dobre, słucha siostry i śpi, powiedział po cichu i odszedł.

Słowa niczego nieświadomej dziewczyny wywołały w nim bolesne refleksje, przypomniały o niezagojonej i świeżej ranie, a naiwne, entuzjastyczne podziękowania wzruszyły i rozczuliły, z przyjemnością przypominał sobie jej delikatną, schorowaną twarzyczkę i wielkie piwne oczy.

Dwanaście ogromnych, kilkupiętrowych, pięknych domów stanowiło zakład szpitalny „Ustronie"; oprócz domów było jeszcze szereg mniejszych pawilonów, każdy z budynków był otoczony ogrodem i stał daleko jeden od drugiego.

Były to lecznice dla wszelkiego rodzaju chorych, oddziały: chirurgiczne, dla nerwowo chorych, ginekologiczne, oczne, dla dzieci, dla chorych na raka, gruźliczne i inne.

Chorzy byli otoczeni takimi wygodami, o jakich zapewne dużo spośród nich nie miało przedtem pojęcia. Jeżeli człowiek głodny, brudny i schorowany leży w jakiejś wstrętnej, śmierdzącej norze, jakież uczucie błogości go napełni, kiedy znajdzie się raptem w jasnym, pięknym pokoju, zda się, pachnącym czystością; wykąpany, nasycony i otoczony taką troskliwością, jakby był przynajmniej jakimś księciem! Nic więc dziwnego, że każdy biedak marzył o Ustroniu. Niekażdemu jednak przypadało w udziale to szczęście, bo przecie chorych z całej Polski Ustronie nie mogło pomieścić. Lecz z chwilą powstania i rozwinięcia się tego przybytku uzdrawiania i inne instytucje tego rodzaju, starały się stanąć na wysokości zadania, a Polski Czerwony Krzyż, w którym, zresztą, nigdy nie brakowało ludzi dobrej woli, rozwinął swą działalność wprost niesłychanie.

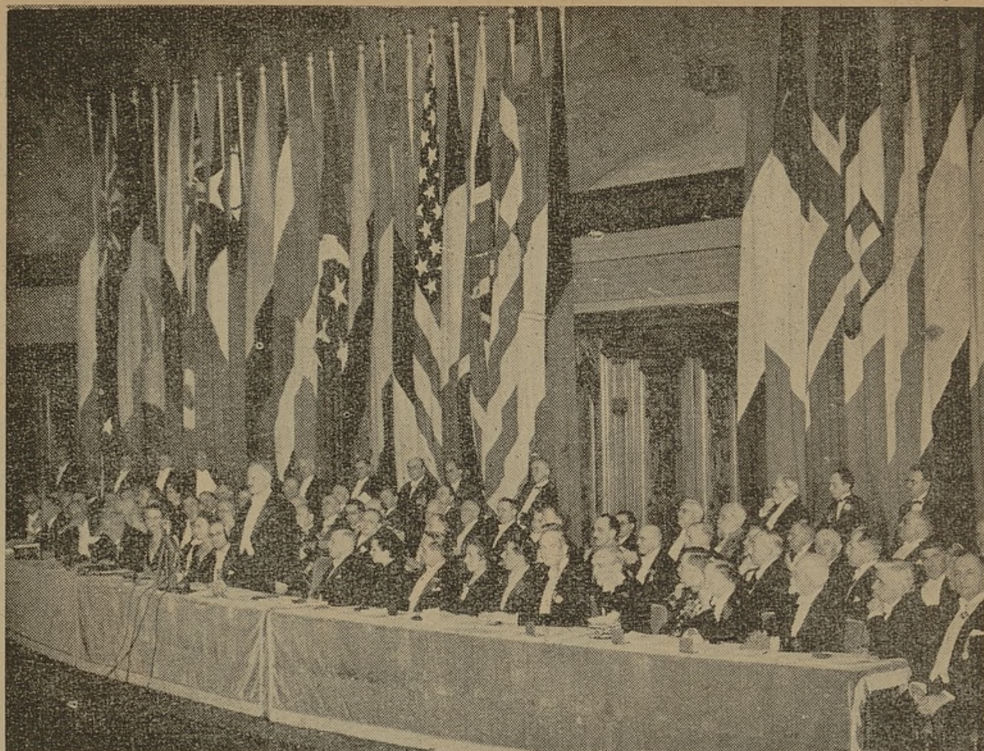
Jednakże w umysłach biedaków Ustronie przedstawiało się zawsze jak raj wymarzony.

Oprócz budynków szpitalnych, majątek zawierała cegielnię, warsztaty szewskie, tokarskie, przędzalnię i cukrownię.

Często człowiek uzdrowiony, ale bezdomny przenosił się ze szpitala do którejś z fabryk i otrzymywał pracę oraz mieszkanie.

Ustronie było to jakby całe miasto, kolonia chorych i kolonia pracowników, którzy rekrutowali się przeważnie z dawnych chorych.

Imiona braci Kellerów wymawiano wszędzie z nabożeństwem.



W Paryżu w Sorbonie odbyła się uroczysta akademia ku czci Piotra Curie i Marii Curie Skłodowskiej, z okazji 40-ej rocznicy odkrycia radu

Anna oglądała całe to urządzenie z podziwem i zachwytem. Dużo czytała przedtem o Ustroniu, lecz sobie nie wyobrażała, że jest tu aż tak wspaniale, pięknie, a wszystko jest urządzone staraniem jednego człowieka.

Z rozpaczą myślała, że będzie musiała stąd odejść, ale kiedy tylko powiedziała, że nie ma krewnych, że jest sama, samiuteńka na świecie i nie ma pracy, zaproponowano jej posadę pielęgniarki w pawilonie dla dzieci, przyjęła z radością.

Dzieci polubiły ją bardzo i nazywały poufale i pieszczotliwie: „Aniu"; to musi być dobra istota, skoro dzieci ją tak polubiły, instynkt dziecka jest nieomylny.

Zachodząc do pawilonu, gdzie pracowała Anna, Andrzej często z nią rozmawiał i przekonał się, że rzeczywiście jest dobra, i dziecinna, sama jeszcze jak dziecko.

„Pewno by mnie nie okłamała tak, jak Helena, gdyby była moją żoną" — mimo woli nasunęło się mu porównanie.

Czując utkwiony w siebie, pełen uwielbienia wzrok Anny, Andrzej mieszał się, ogarniało go rozrzewnienie.

Ta sympatyczna, miła dziewczyna widzi w nim jakiegoś boga!

Anna od dawna ze wszystkich tygodników i gazet zbierała skrzętnie wiadomości o Karolu Kellerze, a potem o Andrzeju; śmierć Karola opłakała, jak śmierć kogoś bliskiego.

Zawsze marzyła o tym, aby poznać osobiście jednego z braci, ale nigdy nawet nie pomyślała, żeby Andrzej mógł na nią zwrócić uwagę. Teraz czuła się niewymownie szczęśliwa, pracując pod kierunkiem ubóstwianego człowieka.

Pragnęła też poznać żonę Andrzeja, chciała widzieć jak to wygląda taka kobieca istota, którą kocha ten nadzwyczajny człowiek — jest chyba dobra i piękna, jak duch nieziemski!

Anna zauważyła, że chwilami oczy Andrzeja są tak przejmująco smutne, jakby widziały coś bolesnego, rozpaczliwego.

Tłumaczyła sobie ten wyraz podpatrzonego smutku w ten sposób: taki człowiek, jak doktor Andrzej nie może być nigdy bardzo wesoły, nie może mieć oczu radosnych, bo ciągle widzi nędzę ludzką, cierpienie, śmierć w męce, wszystko to odbija się na jego wrażliwej duszy, wszystko rani jego serce, bo chociaż stara się pomóc nieszczęśliwym, jednakże jest to kroplą w morzu ludzkich cierpień, a przecież ogarnąć cały świat, jakby zapewne chciał, troskliwymi, dobrotliwymi ramionami, nie może; jest wprawdzie doskonałym człowiekiem, lecz tylko człowiekiem.

Istotnie, Andrzej odczuwał nie raz z ogromną siłą ciężar cierpień ludzkich, przeżywał każdą śmierć chorego, każdą nieudałą operację, każde najmniejsze uchybienie w niesieniu pomocy, napawało go niepokojem, czy nie wyniknie z tego coś poważniejszego, to wszystko jednak w najmniejszej mierze nie odbijało się na jego wyglądzie zewnętrznym, ani w wyrazie oczu. Oczy miał zawsze poważne, zamyślone, ale dopiero po przejściach z Heleną nabrały tego przenikającego wyrazu smutku, nawet rozpaczy, co tak zastanowiło Annę i co tak naiwnie wytłumaczyła sobie.

Wszyscy zresztą otaczający zauważyli to dziwnie bolesne i nowe spojrzenie doktora Andrzeja, lecz, że był tak samo, jak zawsze spokojny, zrównoważony, oddany pracy, jak zawsze troskliwy, grzeczny, uważający i współczujący dla wszystkich, bez wyjątku. Trudno więc było komuś obcemu dociekać, co tak zaważyło na duszy uwielbianego lekarza.

Nikt z całego szpitalnego personelu, ani z chorych nie miał pojęcia, co za kobietą jest Helena, wiedziano tylko, że kochał ją Karol i miał poślubić, a po śmierci Karola poślubił Andrzej. Wszystkim zdawało się, że taki człowiek jak doktor Andrzej nie może mieć złej żony, że żadna kobieta nie okaże się na tyle nikczemną, aby go oszukiwać, bo czyż można takiego człowieka czymkolwiek bądź unieszczęśliwić — na niego patrzeć można tylko z uwielbieniem



Żony angielskich ministrów, Chamberlaina i Halifaxa zwiedziły w Paryżu Ośrodek Wychowania Młodzieży. Na zdjęciu panie ministrowie w chwili zwiedzania kuchni.

i czekać, jak wierny pies, na każde jego skinienie; kobieta, którą wziął za żonę, jest wyróżnioną ponad miarę.

Z tego to nimbu czci, jakim otaczano sławnych braci, wyrosło takie przekonanie co do małżeństwa Andrzeja. Jedynie profesor Łanecki i jego pomocnik wiedzieli coś niecoś o tym, że podłość ludzka nie ma granic, lecz milczeli, nie chcąc mieszać się do spraw tak osobistych.

Andrzej jeszcze nie wszczynał kroków rozwodowych, ogarnęło go zniechęcenie, brakło energii, zajęty był tak pracą, po prostu nie miał czasu myśleć o tym, co przeżył niedawno, czasami czyjeś powiedzenie przypominało mu o żonie, o tej kobiecie, która zdolna była wzbudzić tak krańcowe uczucia — od takiej miło ci przejść do takiej nienawiści — czuł wtedy bolesny skurcz serca i postanawiał niezwłocznie przedsiębrać coś stanowczego, ale czas mijał i wszystko pozostawało po staremu.

Dopiero poznanie Anny i miłość do niej, jakże odmienna od tej, jaką otaczał Helenę, miały go popchnąć do decyzji bardziej wyraźnych.

Po tym przeżyciu spragniony był zaznać czegoś lepszego w miłości do kobiety, chciał, aby ta nowa miłość nie była tak szaleńcza, żarliwa, tak ogarniająca sobą całą jaźń, chciał, aby kobieta, którą teraz pokocha była bardziej przeciętna, tak jak tysiące innych i żeby nie budziła swoją odmiennością fizyczną i duchową, pragnień, przewyższających możność ludzkiego odczuwania.

Anna wydała mu się właśnie pełnym przeciwieństwem Heleny: nie była tak wzniośle piękna, była tylko nadzwyczaj miłym, uroczym dziewczątkiem, była prosta, zwykła, „niewyszukana" jak ją określił. Nie miała tak czarującego, uwodzicielskiego głosu, jak Helena, nie umiała tak pięknie grać ani śpiewać, jak Helena, ale zapewne i nie umiałaby tak okłamać, tak zadrwić z uczuć.

I Andrzej szukając wyjścia ze smutku, który tak go przygnębił, postanowił rozwieść się z Heleną, a poślubić Annę.

Wiedział, że musi za wszelką cenę zapomnieć o Helenie, wyrzucić z pamięci obraz tej miłości, bo inaczej ból rozczarowania nie opuści go nigdy.

Wkrótce po tym postanowieniu spytał Anny czy chce być jego żoną.

Anna nie mogła z początku zrozumieć, że ten uwielbiany, ten nadzwyczajny człowiek chce ją pojąć za żonę. Jakto ją, doktor Keller, czyż może takiej zwykłej dziewczynie jak ona wydarzyć się coś podobnego?... A zresztą, co najgłówniejsze, przecież on ma żonę, więc jak? Tak, ma żonę, Andrzej opowiedział Annie o przykrościach, jakie przeżył z powodu Heleny.

— Nie, to nie może być, żeby ona nie kochała pana, może być zła, przewrotna, lecz nie może nie kochać takiego człowieka jak pan. Nie mogę być żoną pańską, bo żona pańska zmieni się jeszcze pod wpływem jego dobroci. Mam wrażenie, że pan jednak ją kocha, ja, żebym miała zostać żoną pana, chodziła bym za nim jak cień; było by to dla mnie szczęście wymarzone, jak we śnie, jak w bajce.....

— Więc bądź moją żoneczką, maleńka, wierz mi, że inaczej być nie może: nie znoszę widoku tej pięknej kobiety, nie chcę z nią żyć dłużej.

— Zbyt smutne jest to, co pan mówi, trudno w to uwierzyć, trudno też uwierzyć, że ja mam zostać jego żoną; gdyby pan nie miał żony zgodziłabym się od razu, chociaż uważałabym, że nie zasłużyłam na tak wielkie szczęście, lecz tak... nie, to zbyt dziwne, zbyt tragiczne!

Długo Andrzej przekonywał Annę, iż ją jedynie kocha, że miłość jego do Heleny była złudzeniem, żeby Annę przedtem spotkał nigdy by nie uległ urokowi tej kobiety, nawet trudno nadawać jej miano kobiety — tak niemiłosierna jest jej cała istota.

Anna słuchała ze smutkiem, a jednocześnie czuła wzrastające i ogarniające ją, niewysłowione szczęście.

— Chcę widzieć twoją żonę, Andrzeju, może ja dopatrzę się w jej oczach znaku jakiejś lepszej myśli; nie chcę mieć na sumieniu tego, że pozbawiłam kobiety takiego męża, jak ty, Andrzeju!

— Maleńka Aniu, słodka Aniu, przesadzasz w swym uwielbieniu.

Na drugi dzień, chociaż Anna i Andrzej nie planowali, gdzie ma nastąpić spotkanie, zupełnie przypadkowo Anna spotkała Helenę w ogrodzie szpitala dziecięcego. Helena przyszła tu ze swym „synkiem".

Od razu Anna poznała, że jest to właśnie „ona", serce zabiło mocno, w oczach pociemniało, doznała niemal fizycznego bólu na myśl, iż widzi kobietę, którą Andrzej kochał, a może kocha i teraz, choć twierdzi, że nienawidzi?

Pomimo tego wstrząsu, jaki odczuła, potrafiła uważnie przyjrzeć się Helenie, która szła powoli naprzeciw niej. Anna była oszołomiona jej niezwykłą pięknością, ale od razu wydała się jej odpychająca, przykra. „Nie, ona ma duszę bezlitosną, zbyt zimnym okrucieństwem jaśnieją jej przepyszne oczy."

Helena podeszła do stojącej nieruchomo i wpatrzonej w nią Anny i z wąskich, pięknie wykrojonych warg, popłynął głos cichy, łagodny, przedziwnie miękki i pieszczotliwy — czy doktor Andrzej jest w tym pawilonie, siostrzyczko?

— Tak, proszę — odpowiedziała prawie szeptem Anna.

Helena odeszła.

„O, Boże, jakże ona ma cudny głos!"

Długo stała w ogrodzie zadumana Anna, zapomniała o wszystkim, myślała tylko o niej, o Helenie! Chociaż postanowiła powiedzieć Andrzejowi, żeby nie wahał się wymagać od żony rozwodu i że ona pragnie jak najprędzej zostać jego żoną, czuła rozpacz na myśl o wspaniałych, nieprzeniknionych oczach Heleny. Co kryło się w tej pięknej, dalekiej; dalekiej, bo wydawało się Annie, że w oczach Heleny poza tą twardością wyrazu, jest jeszcze coś, jakby nie z tego świata, coś obcego, nieludzkiego — jest piękna i straszna jednocześnie, — ten kto ją pokocha, nie zapomni o niej nigdy, zostawi w duszy niezatarty ślad, zanadto jest niezwykła, aby można było o niej zapomnieć, nie myśleć o niej, skoro się ją kochało!.

Jakże ona, Anna, jest prosta, tak szara, codzienna wobec niej!

I w duszy Andrzeja nigdy nie zaginie obraz tej pięknej, nie zaginie wspomnienie jej pocałunków, jej pieszczot.

Nie, niech odejdzie, niech odejdzie, Anna postara się, żeby Andrzej zapomniał o Helenie, jej miłość będzie silniejsza, mocniejsza od niebezpiecznego uroku tamtej.

— Dlaczego jesteś tak smutna Aniu? Postaram się prędko uzyskać rozwód, będziemy razem, a Helena pójdzie od nas.

— Widziałam ją tylko co w ogrodzie, nie mówiłeś mi, że jest tak przedziwnie piękna.

— Tak, lecz jej piękność ma w sobie coś odpychającego, czy zauważyłaś spokój, chłód jej twarzy?

— Mimo to jest tak piękna, tak niezwykła, a głos jej; czy na pewno już jej nie kochasz?

— Mówiłem: nie! Dziś jej powiem, aby wyjechała ode mnie, a rozwód z pewnością uzyskam łatwo i prędko. (C. d. n.)

RAJ KOBIET

Najradośniejsze Święta

Święta Bożego Narodzenia, które też nazywamy białymi świętami pojednania i ukojenia, są najmilszymi, najbardziej oczekiwanymi świętami w roku.



Świętami rodziny i dziecka, zwłaszcza dziecka!

Jakże dla dzieci upragnione są to święta i radosne radościami czystymi, a niezrównanymi! Bo czyż jest na świecie większa radość od tej, która rozpiera maleńkie serduszka dzieci całej polskiej ziemi, a także tych innych, co wprawdzie mówią obcym językiem, innymi słowami odmawiają krótki, dziecięcy paciorek, lecz których serduszka, są tak samo czyste i tkliwe, a śmiech dźwięczy równie srebrzyście i słodko, więc czyż może większa radość rozpierać serduszka naszych dziatek, jak radość spodziewania? Dzieci spodziewają się mnóstwa rzeczy i wrażeń na Gwiazdkę, a dla nich „spodziewanie" to tyle, co najniecierpliwsze w świecie oczekiwanie, więcej, to marzenie o sprawach dla nich niesłychanie ważnych. Ważniejszych od budowania drapaczy chmur z nieco sfatygowanych zeszło-gwiazdkowych klocków, od raidów blaszanych samolotów, bitew ołowianych żołnierzyków, od groźnej choroby ich ulubionej lalki, która nagle zachrypła i przestała wymawiać swoje niezastąpione: „mama — tata". Ba! ważniejszych od głodu wysłuchiwania tych najulubieńszych bajek, które trzeba im powtarzać zawsze na nowo i zawsze jeszcze raz! Jeżeli jakie bajki są jeszcze znośne, to te, które w jakiś sposób pozwalają się podciągać pod ich gwiazdkowe marzenia. Jeżeli te bajki mówią o tęczowo lśniącej szklanej kulce z choinki, jeżeli pachną wigilijnym świerkiem, są podmalowane w cudne kwiaty omrozu, w te same, które się formują w dni przedgwiazdkowe na szybach dziecięcego pokoju — o, wówczas są ciekawe i pożądane, bo indentyfikują się z marzeniami kilku i kilkunastu człowiecząt! A już wspaniałymi są, gdy maleńkie karzełki, o długich siwych brodach sposobem tajemniczym, a w bajkach tak zwykłym, zamieniają się nagle w pogodnie uśmiechniętych olbrzymów, mocno przypominających wyglądem postać nieocenionego Gwiazdora. To nic, że **Gwiazdor zstępuje z nieba** na ziemię tylko w Wigilię, przecież oni mogą być jego kuzynami i mogą też mieć jasne oczy, srebrną brodę i spory wór na plecach — nawet na pewno Gwiazdor miał kuzynów, każdy człowiek ma kuzynów — filozofują wcale słusznie. A że gwiazdor jest „człowiekiem" z nieba, to nie może niczego zmienić — przynajmniej nie w filozofii dziecięcej. Więc „kuzynowie" gwiazdora cieszą się w dalszym ciągu sympatią i trzeba w bajkach iść tym sympatiom na rękę.

Rodzeństwo, rozproszone w pogoni za własnym szczęściem i za własnymi interesami, zwoła i pojedna radosne drzewko choinka.

Z tych bajek i z tych filozofij wyrasta nagle jeszcze jedna: czy choinka będzie taka cudna, jak „wczoraj" (wczoraj w pojęciu naszych milusińskich jest ogromnie rozciągliwe i tak samo oznacza fakty minione sprzed kilku godzin, jak kilku miesięcy i dłużej!). I czy mamusia będzie znowu kleiła ozdóbki oraz czy im pozwoli wziąć w tej czynności udział — One nic, one tylko będą mamusi podawały kolorowe bibułki, no i będą je cięły i zlepiały i... i... rozwieszały na gałązkach — słowem, zrobią wszystko! Wszystkie przeszkody są nagle nieważne dla małych adeptów artyzmu choinkarsko-zdobniczego. Nawet wzrost, niepozwalający im dostać rączką do bodajże połowy drzewka. Ale temu się zaradzi. Mała Basia, czy Jaś wejdzie odważnie na ławeczkę przyniesioną z kuchni i po biedzie! Albożi im to nowina karkołomne wyprawy po półkach w spiżarni w poszukiwaniu słodkiej, a zakazanej konfitury?...

Dzieci tego wprawdzie nie dopowiadają, ale wszystkowiedząca mamusia, przypomniała sobie sama te zdobywcze perypetie, gdy badawczo spojrzała na zarumienioną buzię i płochliwie trzepocące powieki Basi, czy Jasia.

I mądra mamusia przyzwalająco kiwa głową — choinka to marzenie dzieci, niechże więc nadają swoim marzeniom realne kształty. A nuż wyłoni się z tego jakiś talent? A choćby nawet nie, to i tak będzie można zawsze jeszcze poprawić dzieło inwencji dziecięcej i cech i należycie uzupełnić. Zaś kilka doniosłych cech ugruntuje się w rozwijającej się stale i podlegającej ciągłej metamorfozie psychice małego człowieka — zamiłowanie do samodzielnych poczynań, polot, wyczucie estetyki i przywiązanie do rodzinnych, oraz ogólnoludzkich zwyczajów, zasad i tradycyj, a ponadto zwiąże późniejszego, dorosłego człowieka z domem nicią wspomnień i tęsknoty. Ta tęsknota i najcudowniejsze dziecięce przeżycia przy ubieraniu niezapomnianej choinki mogą zdziałać, że wspomną na matkę i wrócą do wigilijnego stołu wszyscy jej synowie, wszystkie córki, których porwały własne sprawy, przeznaczenia i obowiązki, którzy uodpornili się już może na zwykłe wzruszenia kontaktu z rodziną, którzy na codzień zapomnieli o domu i matce o całej rodzinie wreszcie. Zwoła ich nagle z najdalszych krańców i pojedna radosne drzewko — choinka, a rozgrzeszy i uświęci wzruszeniem najszczerszym, przełamany pod nią opłatek.

A potem już rozsnują się wspomnienia, jak kolorowa wstęga, przeplatana perełkami roztkliwienia.

Duży pan inżynier będzie głośne z siostrą (dziś już młodą matką) — wiódł rozhowory, jak to oni przystrajali choinkę w salonie. On chciał koniecznie na czubku powiesić model swego ongiś genialnie zbudowanego pałacu z pudełek od zapałek, a ona wykłócała się z nim o to miejsce dla swej artystycznie wyplecionej kołyski. Tu filuternie mruży czarne oczy pan inżynier i wtrąca uśmiechniętą uwagę, że doczekała się oto żywego lokatora kołyski...



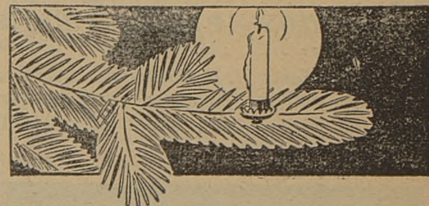
Mamusia ze swą pociechą odkrywają nowe światy w zaczarowanej szklanej kuli

I snują się przy choince niewyczerpane wspomnienia, powracają dawne marzenia, napływają nowe, bujne a jasne, jak te starodawne kolędy, co rozbrzmiewają niezliczonymi strofami i niosą się stłumionym dźwiękiem za okna w noc zimową, wyiskrzoną gwiazdami, rozdzwonioną dalekimi głosami dzwonów, wzywających na pasterkę. W miłą Bogu noc!

Mirania Galińska.



Mali adepci artyzmu choinkarsko - zdobniczego próbują swych sił.



A ona ze szczęśliwym uśmiechem chwyta swego „bąka" i idzie odkrywać z nim nowe zaczarowane światy w tęczowej kuli, tak rozkosznie rozchwianej na najwyższej gałązce tegorocznego drzewka.

A poważna Ania, ta co to zawsze myślała o cierpieniu bliźnich, aby wreszcie poświęcić się im zupełnie w swej klinice, teraz beztrosko i nieco swawolnie opowiada, jak to z koleżanką zakradały się do drzwi saloniku i przez dziurkę od klucza zaglądały do wnętrza, mimo, że mamusia zabroniła dzieciom wchodzić tam i podglądać. Nie zapobiegła ciekawości groźba, że aniołek włoży ciekawskim kamień zamiast łakoci i prezentów pod choinkę. Nie wiadomo zresztą, czy chęć ujrzenia aniołka nie przeważała zwykłej entuzjastycznej u dzieci chęci posiadania — byłyby zrzekły się nie tylko nowych prezentów, ale nawet starych, ulubionych swoich zabawek, byle tylko choć raz ujrzeć aniołka w saloniku. Bo dziecięce duszyczki są tyle zapalne, ile zmienne. Jedno z drugim bajecznie się u nich splata i żadne czarne refleksje nie chmurzą jasnego ich wzroku i różowego czoła.



...Jak to po cichutku zakradały się do drzwi saloniku i przez dziurkę od klucza zaglądały do wnętrza...



Rozmowa małych dam przy świątecznej czekoladzie pod drzewkiem.

ZE ŚWIATA

W Rumunii nie będzie choinek gwiazdkowych

Władze rumuńskie zakazały urządzania choinek na Święta Bożego Narodzenia, ponieważ jest to zwyczaj nie — rumuński, a ponadto rzekomo szkodliwy dla stanu zalesienia kraju.

Miasta polskie czczą pamięć Marii Curie-Skłodowskiej

Władzom nadzorczym przekazano uchwały samorządów miejskich, związanych z uczczeniem pamięci naszej genialnej rodaczki. 30 większych miast w Polsce nazwało jej imieniem główne ulice.

Największy sterowiec na świecie

Nowy sterowiec marynarki amerykańskiej „R 2", który jest uważany za największy na świecie, odbył próbną podróż. Długość sterowca wynosi 246 stóp, średnica 76 stóp, a objętość 400 tys. stóp sześciennych. Sterowiec napełniony będzie helem i przydzielony do stacji w Lachkurst.

Coś dla kupców

Z dniem 1 stycznia 1939 r. wejdzie w życie nowy statut podatku od szyldów, który przewiduje znaczne rozszerzenie tych opłat. Zwrócona została uwaga na estetyczny wygląd reklam. Ozdobne i artystyczne reklamy korzystać będą z ulg podatkowych do 25 proc.

Korespondencja świąteczna

Z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia wprowadziły główne urzędy pocztowe w Warszawie i większych miastach specjalne datowniki okolicznościowe, którymi stemplują korespondencję świąteczną. Datowniki są opatrzone gwiazdką i życzeniami świątecznymi.

ZBIGNIEW WICHEREK

Wesoła wigilia w przyszłości

(Opowieść fantastyczna).

Jest zima roku 1980. Na rozległe ziemie kładzie się śnieg miękki i lekki, jak dłonie dziecka. Istna bajka! Na wszystkich częściach świata, w kątach i zakątkach, na otwartych przestrzeniach, w mieście i na wsi szaleje niepodzielnie dobrobyt, zadowolenie i radość. Aby nikt nie został bez gwiazdki, na placach i rogach ulic poustawiano wysokie, okazałe choinki, błyszczące jasno neonowymi światłami — i gęsto obwieszono — nie, jak przed kilkunastu laty, — dekretami, podatkami, nakazami płatniczymi, oraz śledziami, ale oho! najrozmaitszymi smakołykami z bogatych polskich kolonii zamorskich! Śnieżna, puszysto - biała przestrzeń ulic, zasnuta lekką mgłą z lotnego szronu, utkaną, ubieliła miasto grubą warstwą puchu. Słońce niby zawoalowane oblicze bóstwa, prześwituje poprzez mętną powłokę nieba matowym połyskiem niefałszowanego srebra.

Jęczą i skrzypią windy w drapaczach chmur, zwożąc podarunki gwiazdkowe dla najuboższych i bogatych, biednych i najbogatszych. W mieście ruch niebywały. Chłopcy do posyłek biegają jak opętani. Na całym świecie, nawet w zamiejskich barakach, przytułkach i sierocińcach jest jasno, ciepło i wesoło.

W obszernej sali wielkiego gmachu siedzi dostojnie rozparty starszy, poważny pan, który przewodniczy zebraniu kilkudziesięciu siwych o jowialnych uśmiechach panów.

Słońce stopiło na szybach matowe omrozy. Niebo stawało się żółte, świecące migotliwie.

— Musimy obdarować wszystkich: nasi urzędnicy przebiorą się za św. Mikołajów i będą chodzić po mieście. A mamy z czego dać i za co! Nasze składy pękają od towarów, kasy pełne są pieniędzy; nie wolno tedy nikogo pominąć! Pamiętajmy, że instytucja nasza cieszy się doskonałą opinią. Od piętnastu lat nie mieliśmy żadnej reklamacji. W piwnicach jest moc wielkich paczek z podarkami. Paczki te są powiązane czerwonymi wstążeczkami, na których srebrnymi literami wydrukowano napisy, malujące serdeczny stosunek instytucji do swoich klientów - przyjaciół... Życzenia: „Wesołych Świąt" — Urząd Podatkowy.

Na sali obrad zapadła cisza. Daleko skrzypiały sanie, jadące w drogę, do ludzi...

— — — — — — — —

Dom, jak marzenie. W śródmieściu. Wesoły, roześmiany, tętniący życiem. Z szeroko otwartych drzwi domu wychodzi szybkim krokiem uśmiechnięty człowiek, za którym wysypuje się i tłoczy przy nim gromada biało ubranych mężczyzn w sile wieku.

— Sto lat życzymy panu! Sto lat!... Chór biało ubranych ludzi ustawia się półkolem przy samochodzie i obsypuje go pięknymi kwiatami. Jeden z chórzystów krzyczy na cały głos za odjeżdżającym:

— Wesołych świąt szanownemu panu! Proszę nas polecić swoim znajomym.

— Wesołych świąt!... — ginie zwolna w oddali, wśród szalejącej śnieżycy.

To chór lekarzy z Ubezpieczalni Społecznej żegnał wyleczonego pacjenta.

— — — — — — — —

Wszędzie wszechwładnie panują dobrobyt, szczęście, zadowolenie i pogodne nastroje.

Dopiero w roku 1980 — szary człowiek stał się przemożnym władcą na ziemi. Nikt już nie może mu dorównać. I pogoda nie ma kaprysów, jak dawniej... Jest tak ciepło, jak przed dwudziestu laty było w maju. — W najmniejszych norach i suterenach pyszni się bogaty stół, nakryty białym obrusem do wilii świętej. Wszyscy się uśmiechają do choinki i wyciągają ręce z opłatkiem...

— — — — — — — —

Duży dziedziniec koszarowy, po którym biega kilkudziesięciu młodych ludzi z ostrzyżonymi włosami. To rekruci.

— Powoli, panowie, powoli, — powtarza co chwilę pan z długimi wąsami, stojący na środku dziedzińca.

— Nie pali się, po co więc tak szybko biegać, szkodzi sercu, zmęczycie się. Ale młodzieńcy biegną jeszcze szybciej... Każdy chce bowiem na święta pojechać do domu.

Sierżant denerwuje się:

— Dosyć, dosyć... proszę przestać. Dzisiaj tylko pół godziny ćwiczenia. Teraz proszę panów iść na salę i położyć się wygodnie. Dziś już nie będzie żadnych zajęć. Jutro wyjedziecie na wakacje świąteczne. Co panowie sobie życzą na podwieczorek? Może czekoladę z pianką i pączki? A może świeże pierniki?

Żołnierze rozbiegają się po salach. Po dłuższej chwili wchodzi na jedną z sal pan z długimi wąsami.

— Proszę panów, zbliżają się święta Bożego Narodzenia, nie mam wiele pieniędzy, ale chciałem wam zrobić jakąś miłą niespodziankę, więc wyczyściłem za was wszystkie karabiny, szafy i obuwie. Przy tych słowach roześmiał się na głos.

— Dziękujemy, panie sierżancie! Wesołych świąt! — odezwały się zmieszane, wesołe głosy rekrutów.

Za oknami opadały powoli ogromne płaty śniegu.

Wigilia... Święta przed drzwiami...

— — — — — — — —

Redakcje czasopism i dzienników wysłały do swoich niedoszłych poetów i współpracowników zaproszenia, by stawili się w Wigilię w redakcji.

Już na godzinę przed oznaczonym czasem przyległe ulice, prowadzące do redakcji, wypełniły się wszelkiego rodzaju ludźmi. Biegli wszyscy, co jeno sił mieli w nogach i płucach. Szły całe armie młodych i starych adeptów sztuki. Szli — jak ongi szło się na Bal Prasy, czy na zamiejską wycieczkę, kiedy za miasto kursowały tramwaje...

Stróże bezpieczeństwa publicznego, porwani rytmem biegu, pędzili z nimi w tę samą stronę, nie wiedzieli bowiem, co się stało, a węszyli coś złego.

Do zgromadzonych w wielkich salach przemówił naczelny redaktor w te słowa:

— Podziwialiśmy waszą wytrwałość, tupet, pracę i nadzieję, którą żyliście tak długo. Postanowiliśmy dziś każdemu poecie wypłacić 1 grosz za wiersz przekazany nam do odczytania. Każdemu więc z was nie przypadnie w udziale mniej, niż sto złotych. Już od z górą miesiąca specjalna komisja budżetowo — administracyjno — literacka pracowała nad sprawiedliwym wymiary nagrody dla was, poeci, którzy zebraliście się dzisiaj w tak wielkiej liczbie. Oceniacie chyba w pełni ten trud, który wam poświęciliśmy Bo i my waszą syzyfową pracę uznajemy i oceniamy, a już najwięcej, żachlanny i wznoszony waszymi utworami — jest poczciwy, spokojny kosz redakcyjny. O, gdybyż on potrafił mówić!...

Mówca po krótkiej chwili rozrzewnionym głosem ciągnął dalej:

— Mamy natomiast jedną prośbę:

Zredukujcie nadsyłanie swoich utworów do minimum — a będziemy jeszcze lepszymi przyjaciółmi na przyszłość. — Wesołych Świąt! — zakończył redaktor jakby patetycznie. Większa część nie rozumiała zakończenia przyjacielsko — filantropijnej mowy naczelnego redaktora, bowiem co tchu biegła do kasy po pierwsze i... ostatnie honorarium!

— — — — — — — —

Na śnieżne całuny zapada mrok, jakby przed drzwiami stała zgrzybiała żebraczka, prosząca o litość i o suchy kawałek razowca, Ale tak było przed laty. Dzisiaj nikt nie prosi o nic. Wszystkiego jest pod dostatkiem. Zajaśniała pierwsza gwiazdka na niebie. Rozległy się po domach piękne kolendy. A chociaż był rok 1980 — śpiewano jeszcze pradawne, przepiękne polskie kolendy i choinka jarzyła się w świetle płonących świec, ozdobiona tak, jak przystało na Boże drzewko!

Odpowiedzi redakcji

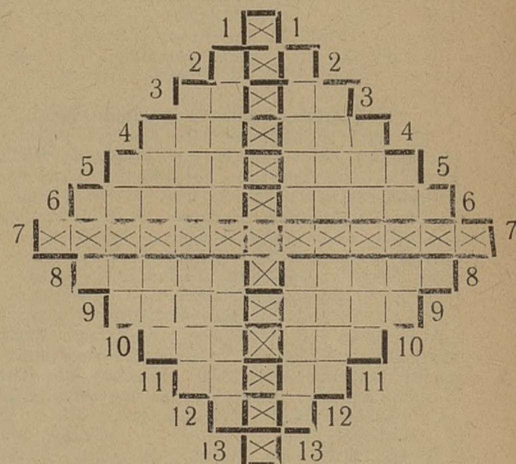
P. Tadeusz K-ski — Częstochowa. Donosimy Panu, że wierszyk Jego uważamy za słaby do druku. Może inne, o ile je Pan nadeśle, okażą się fortunniejsze. Pozdrawiamy Pana serdecznie i oczekujemy dalszych wiadomości!

„Czytelnicy". Na list W. Panów z dnia 8.11. br. prosimy o dokładne dane, jak numery C. T. P., w których drukowano prace tego pana, dalej dowody na resztę zarzutów, podnoszonych przeciw jego osobie oraz swoje imienne podpisy. Listów anonimowych nie będziemy traktowali poważnie.

CHWILA ZASTANOWIENIA

CHWILA ZASTANOWIENIA

ul. „Wa-Ga".



Po wpisaniu słów o podanych znaczeniach otrzymamy w rzędach oznaczonych krzyżykami imię i nazwisko sławnego wynalazcy z dziedziny światłolecznictwa.

Znaczenie słów: 1. Znak pierwiastka chemicznego. 2. Główny składnik w najpopularniejszym środku dezynfekcyjnym. 3. Inaczej roztwór karbolowy. 4. Lekarz specjalista, przeprowadzający operację. 5. Inaczej gościec — zapalenie mięśni. 6. kogo leczy pediatra? 7. Rząd do rozwiązania. 8. Inaczej działanie bakteriobójcze. 9. Rodzeństwo urodzone jednego dnia. 10. Nazwisko wynalazcy szczepionki przeciw wściekliźnie. 11. Popularny środek przeciw przeziębieniu i artretyźmie, ogłaszany często w pismach. 12. Inaczej lekarstwo. 13. spółgłoska.

ROZSYPANKA

ul. „Eros".

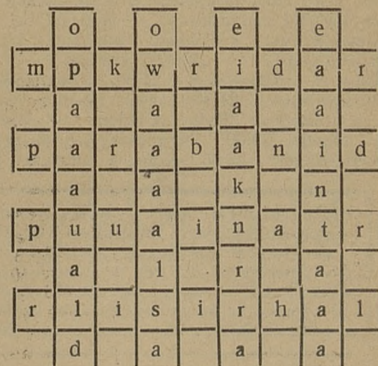
ad świąt wych mi ży nen ty zdro ni
tak wie bo pa łych stra cja ści tom kom
cja mo czą i we i ich a sym so re po

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 30 grudnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 50 „Moich Powieści":

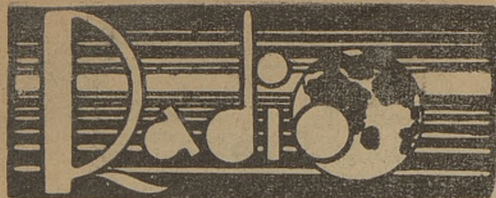
I wirówka — krzyżykówka



II szarada: „Waluta".

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Żywicki Warszawa, Jurkowski Jan — Inowrocław, Kawecki Wincenty — Modzerowo, Dąbrowski Stefan — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Żywickiemu z Warszawy i Jurkowskiemu z Inowrocławia.



Niedziela, dnia 25 grudnia 1938 r.

7.15 Kolędy z całej Polski — aud. zbiorowa ze wszystkich Rozgłośni P. R. 9.00 Kolędy na organach w wyk. F. Nowowiejskiego 9.20 Muzyka polska — koncert z Łodzi 10.00 Transmisja uroczystego nabożeństwa z Katedry na Wawelu w Krakowie 12.03 Muzyka symfoniczna 13.05 „Od okienka do okienka" — obrazek kolędowy dla dzieci 13.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 15.00 Audycja dla wsi 16.30 „Z kolędą przez Podhale" — audycje z Krakowa 16.55 Muzyka taneczna 18.35 „Wosk tracony" — nowela 19.00 Fragment z oratorium „Boże Narodzenie" Lorenzo Perosi'ego. Transmisja z Watykanu 17.45 Koncert wieczorny z Wilna 20.50 Recital śpiewaczy Ewy Bandrowskiej-Turskiej 21.30 „Kolejka pod choinką" — wesoła audycjja świąteczna 22.00 „Pastorałki kaszubskie" — audycja z Torunia 22.30 „Obrazki pastoralne" — aud. muzyczna z Katowic 23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 26 grudnia 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.05 Koncert polskiej muzyki lekkiej 10.00 „W 20-lecie Powstania Wielkopolskiego" — nabożeństwo; poświęcenie sztandarów oraz wręczenie odznaki Powstańców Wielk. Panu Marszałkowi Śmigłemu- Rydzowi 11.25 „W gościnie u Karlika — makówki, śpiew, muzyka" — lekka audycja muzyczna 12.03 Poranek symfoniczny z Wilna 13.10 Muzyka obiadowa z Poznania 14.40 „Dylu, dylu na choinkowym badylu" — świąteczny bal dzieci 15.10 Audycja dla wsi 16.10 Kolędy staropolskie 16.40 „O narodzeniu Chrystusa Króla" — misterium z 17 w. 17.25 Recital fortepianowy Zbigniewa Drzewieckiego 18.00 „Pójdźmy do Betlejem" — suita kolędowa; transmisja na zagranicę 18.30 Muzyka salonowa 19.00 „Wieczna tęsknota" — operetka Grothego 21.05 „Cyklon" — powieść mówiona F. Goetla 21.20 „Do słuchu i do tańca" — koncert rozrywkowy.

Wtorek, dnia 27 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 „Mam 13 lat" — powieść dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.30 Pieśń o ziemi naszej — fragmenty z kantaty 17.00 Czynnik społeczny w Powstaniu Listopadowym — pogadanka 17.10 „Ojców swoich szlakiem" — aud. literacko-muzyczna 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy 20.00 „Straszny dwór" — opera Moniuszki: transm. z Teatru Wielkiego w Poznaniu W przerwie ok. godz. 21.52 „Cyklon" — powieść mówiona Goetla

Środa, dnia 28 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 „Nasz koncert" — „Co było pod choinką" — aud. słowno-muzyczna dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa z Katowic 16.35 Koncert kameralny muzyki polskiej 17.15 „Reportaże z baletów: Teatr Łazienkowski w Pomarańczarni" 18.00 Audycja dla wsi 18.40 „Dyskutujmy" 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Z. Grzybowskiego 21.30 „Cyklon" — powieść F. Goetla 22.00 Folklor różnych narodów: kolędy — aud. muzyczna.

Czwartek, dnia 29 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 „Strażnicy wielkich gór" — pogadanka dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa 16.20 Recital organowy Jana Kucharskiego; transmisja z Konserwatorium Warszawskiego 17.00 Z paryskich wspomnień o Chełmońskim — felieton 17.10 Śpiewa Chór Miejski T-wa im. Moniuszki w Pabianicach 17.40 Kolędy na kwartet smyczkowy — koncert ze Lwowa 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 Życiorysy instrumentów — „Miedź grająca" — gawęda 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 „Zwiastowanie" fragm. słuchowiskowy 21.30 Pieśni Bożego Narodzenia Piotra Corneliusa 21.45 „Cyklon" — powieść mówiona F. Goetla 22.00 „Najpiękniejsze kwartety klasyków wiedeńskich" 23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 30 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 Zagadki historyczne dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Katowic 16.35 Pieśni Michała Kucharskiego 17.10 Ryszard Strauss: Kwartet fortepianowy c-moll 17.45 Muzyka lekka z płyt 18.00 Audycja dla wsi 18.30 „Kolebie kolebeczka, Jezusowa kołyseczka" — legenda 19.10 „Przegląd piosenek z roku 1938" — lekka aud. muz. 21.00 „Cyklon" — powieść mówiona F. Goetla 21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 22.30 „Artur Schopenhauer" — odczyt 22.45 Muzyka z płyt.

Sobota, dnia 31 grudnia 1938 r.

6.35 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 „O biedzie co miała siedem kostek" — słuchowisko dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa z Ło- na fortepianie Ignacy Dygat 17.00 Nabożeństwo na zakończenie „Starego Roku" z Krakowa 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 Na wesoło pod jemiołą — koncert rozrywkowy 21.00 „Cyklon" — powieść mówiona F. Goetla 21.15 „Kalejdoskop sylwestrowy" 23.59 Powitanie Nowego Roku 24.05 Muzyka taneczna.



WŁAŚCIWY PREZENT

— Co pani szykuje dla męża na gwiazdkę?

— Kalendarz do ździerania.

— A to dlaczego?

— On jako kupiec nię może wobec już i tak wysokich cen z nikogo zdzierać. to niechże sobie biedaczek zdziera choć kartki z kalendarza.

U RZEŹNIKA

Klientka: — Może mi pan zważyć tę paczkę?

Rzeźnik: — Bardzo chętnie, proszę panią... Waży ona nieco więcej, niż dwa kilo...

Klientka: — Otóż powiem panu teraz, co zawiera ta paczka. Są w niej kości z kawałka mięsa wagi 3 kilogramów, które mi pan dostarczył przez swego posłańca wczoraj.

WYSTARCZAJĄCY POWÓD

— Muszę przeczytać list, który otworzyłeś. Widzę, że to pisała kobieta, a przy czytaniu zbladłeś.

— Masz rację, to rachunek od twojej krawcowej.

ZNAWCA DUSZ

Randka w kawiarni. Znany don Juan salonowy emabluje piękną panią, zamawia dla siebie koniak, dla towarzyszki zaś — pół czarnej. Dama uśmiecha się.

— Pan jest zarozumiały. Sądzi pan, że pół czarnej wystarczy, żeby mnie zdobyć?

— Nie? — odpowiada don Juan. — No, to trudno. Hej, kelner! Proszę całą czarną dla pani.

ZNALAZŁ WYJŚCIE

Szkot wchodzi do apteki.

— Proszę mi dać pustą małą flaseczkę...

— Proszę. Kosztuje dwa pensy...

Twarz Szkota wydłuża się.

— Tylko pusta kosztuje dwa pensy — pociesza go aptekarz. — Jeśli coś wleję do środka, to flaseczka za darmo...

— Doskonale. Proszę tam nalać trochę wody.

GDY SZKOT KOCHA

— Najdroższy, dlaczego chcesz mnie już opuścić? Zostań jeszcze bodaj godzinkę.

— Wykluczone, kochanie! Oddałbym chętnie dziesięć lat mego życia i cały majątek, aby to było możliwe. Ale muszę już odejść.

— Dlaczego, ukochany?

— Bo mamy posiedzenie, a kto się spóźni, płaci 50 pensów kary.

PRZODEK ROTSZYLDA

Rotszyld oprowadza gości po pałacu, w jednej z sal pokazuje im starą zbroję; to po moim pradziadku.

— Nie wiedziałem — odpowiada jeden z gości — że pański przodek handlował starym żelastwem.



Mały Jaś otrzymał na gwiazdkę podarek w postaci laubzegi i oto taką sprawił niespodziankę rodzicom, powracającym z pasterki.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1.50, kwartalnie zł 1.50 Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 5 P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.